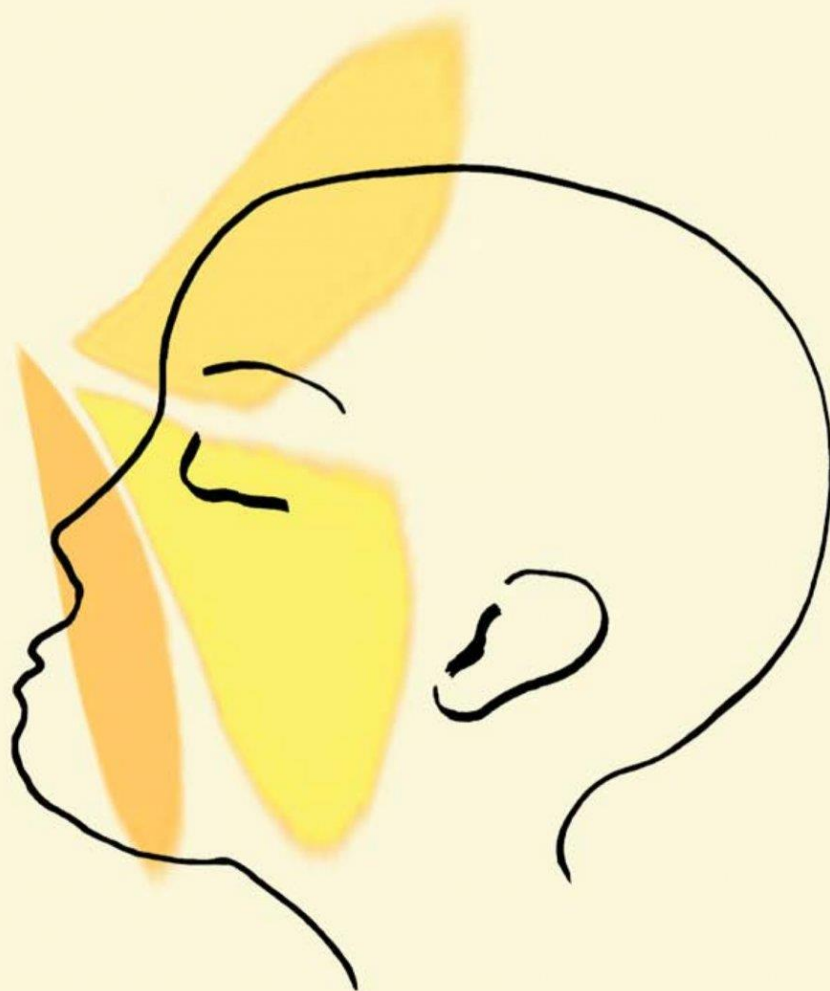


ranya paasonen

# POZYCJA SŁOŃCA



DIALOG



Ranya Paasonen  
POZYCJA SŁOŃCA

Z języka fińskiego przełożyła  
Joanna Trzecińska-Mejor

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG 

Tytuł oryginału  
Auringon asema

Copyright © by Ranya Paasonen 2002

Copyright © for the Polish edition by  
Wydawnictwo Akademickie Dialog 2005

Copyright © for the Polish translation by  
Joanna Trzcińska-Mejor 2005

Redakcja i korekta  
Magdalena Pluta

Projekt okładki  
Bartłomiej Mejer

Skład i łamanie  
Ewa Ćmielak

Autorem zdjęcia na 4. stronie okładki jest Kaapo Kamu/  
/Archiwum Wydawnictwa Otava

Przekład został dofinansowany przez Finnish Literature Society (Suomen Kirjallisuuden Tiedotuskeskus)

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2016

ISBN (ePub) 978-83-8002-639-1

ISBN (Mobi) 978-83-8002-643-8

Wydawnictwo Akademickie *Dialog*

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks 620 87 03

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

<http://www.wydawnictwodialog.pl/>

Skład wersji elektronicznej  
Marcin Kapusta

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38



*Dla Kaisy*



*Opiszę dom do pusta,*

*byle dalej od smutku;*

*książki, przedmioty*

*wynieść, precz.*

*Wynieść ciemną szafę, krzesło*

*zegar precz.*

*Ten zegar albo krzesło później,*

*gdzie indziej*

*nie są już tym samym. Zostaje*

*tylko echo,*

*wiadomość z daleka.*

*Opiszę dom do pusta:*

*precz, wynieść lampy, stół, ludzkie wspomnienia.*

*Pusty dom zamyka się lekko,*

*życie przeżyte do pusta odchodzi,*

*wypełniło się.*

Lassi Nummi

## 1.

Zdarzają się czasy, kiedy Bóg rządzi. Wtedy rozum pali się na stosie i zamyka ze szczurami w wilgotnych kazamatach, by gnić. Zdarzają się czasy, kiedy rozum panuje. Wtedy Boga pali się na placach, a jego domy przerabia na szkoły. Zdarzają się czasy, kiedy próbuje się dowieść, że Bóg i rozum mogą żyć w tym samym miejscu i że w rzeczywistości znaczą to samo, ale takie czasy to coś naprawdę niezwykłego. Zdarzają się czasy, kiedy Bóg i rozum żyją obok siebie, ale w różnych miejscach, jak dorosłe rodzeństwo, które nie mieści się w jednym mieszkaniu, ale potrafi się porozumieć. Kiedy mój ojciec i moja matka kochali się, kierował nimi Bóg, ale nie miało to żadnego sensu, żadnego.

Raz w imię rozumu wyrzekłam się Boga. Powiedziałam ojcu, że nie wierzę w Boga. A ojciec na to: jest jeden Bóg, on jest wielki. Stojąc przed nim, zapaliłam papierosa i wyszłam. Ojciec spakował swoje rzeczy i włączył się przez wiele dni po obcym mieście. Rak mojej matki powiększył się wtedy dwukrotnie. Nastąpiła zima. Trwała wiele lat, przez ten czas słońce nie zaglądało do naszych pokoi. Podczas tej zimy światło się rozpadło i musiałam sama posklejać jego cząstki. Kiedy teraz widzę słońce, odwracam do niego głowę i mówię: nie oddalaj się już. Do mojego domu sprowadził się Hindus i stał się moim bratem. Teraz jest sierpień, posklejałam cząstki w całość i już nie bronię się przed tym światłem.

## 2.

Mój ojciec spotkał moją matkę podczas podróży pociągiem z Luksoru do Asuanu. Ojciec, który był jak lew, z kącikami oczu pomarszczonymi od śmiechu, ale i od mrużenia, zwrócił się do mojej mamy: mam na imię Ismael, a to znaczy, że Bóg wysłuchuje wszystkich moich modlitw, tak było od dawna i tak będzie zawsze. Uśmiechnął się do niej przekornie oczami i ustami też, wtedy ona się odezwała: mam na imię Anu, ale to nie znaczy zupełnie nic. Kiedyś mama stała na tle słońca, jej oczy i słońce miały tę samą barwę. Za ojcem stał Bóg, a za mamą zupełnie nic.

Jest sierpień. Niebo pełne spadających gwiazd. Czasem czuwamy do samego rana, po co mielibyśmy spać? Rozmawiamy o książkach i dzieciach, o obcych miastach. Kwiaty zwiędły, niedługo dojrzeją borówki i las zapachnie grzybami. Jabłka pospadają z gałęzi. Na progu letniego domku zjemy placek jagodowy, a gdy nasze myśli popędzą zbyt szybko, zaczną się potykać o siebie. Wypowiemy tylko najważniejsze słowa, a często nawet ich nie. Nocą jest tak ciemno, że nie widzimy nic przed sobą. Wyciągamy do siebie ręce i jeśli w kieliszkach mamy wino, pewnie się rozprysnie. Skały są rozgrzane, i morze. Unosimy się na falach, w objęciach wody. Dotykamy się tylko koniuszkami palców, trwamy w milczeniu, choć raz.

Ismael i Anu. Niegdyś byli dla mnie jedyną rzeczywistością; wtedy zdarzało mi się krzyczeć nocą, nie wydając żadnego głosu. Byli tak wielcy, że wypełniali wszystkie kąty, zakamarki, zapalało się od nich światło, a gdy gasło, nie mogłam go dosięgnąć, by znowu zapalić; wtedy czułam, że jestem zdana na ich światło. Byli tak wielcy, że nie mieściłam się na świecie razem z nimi. Na pewno nie. Kiedy siadałam przy stole, by obrać pomarańczę, wiedziałam, że mogę zrobić na skórcie cztery nacięcia i odejdzie ona łatwo, tak robiła mama. Ale zdawałam sobie sprawę, że mogę też obrać pomarańczę, robiąc długą, spiralną obręcz, którą zakładało się na przegub jak bransoletkę, tak robił tato. A kiedy mama mówiła, że woda do picia jest bardziej orzeźwiająca, gdy nie dodaje się do niej esencji wyciśniętej z płatków róży, wtedy tato oświadczał, że woda jest smaczniejsza, gdy dodaje się do niej esencji z płatków róży, ten tato, który owijał spiralę skórki pomarańczy wokół mojej ręki, jak ozdobę. Pomarańczę można obierać na dwa sposoby, ale ja nie mogę tego zrobić i tak, i tak, przynajmniej nie tę samą pomarańczę, na pewno nie, więc siedziałam przy stole długo, na dworze działo się wiele rzeczy, w których nie brałam udziału, bo nie umiałam przebywać w tym samym świecie, co oni. Nie byłam w stanie.

Ale teraz był sierpień, ja urosłam, a oni zmniejszyli się do moich rozmiarów. Na świecie jest tyle innych spraw, młodzi ludzie, tacy jak ja, podobni do mnie, już nie szukam nikogo, czyjej władzy mogłabym się podporządkować, w cieniu kogo

mogłabym stanąć, za kim mogłabym się schować, w czyim wnętrzu – zatracić się i umrzeć. Gdy krzyczę nocą, to budzę się i mam własne życie, i rzadko kiedy się boję. Teraz mogę ustawić ich przed sobą jak lalki, którymi bawiłam się w dzieciństwie; płaczę rzadko, bo radość i smutek istnieją wreszcie obok siebie. Kiedy budzę się nocą, czuję swoje nogi pod kołdrą, dotykam jej, lubię to i uśmiecham się; przeważnie jest mi dość ciepło, a rankiem nic mnie nie zaskoczy. A gdy krzyczę przez sen, w otwartych drzwiach staje mama w białej koszuli nocnej, jak przed laty duszek, co zbierał zgubione ząbki mleczne i udawał, że lata, nie wiem, czy ona jeszcze żyje, ale słyszy ten krzyk, którego sama nie słyszę; światło księżyca zagląda do pokoju i niebiesci wszystko; chciałabym widzieć, co jest w szafach, ale nie jestem w stanie. A gdy kiedyś zechcę zanurzyć się pod wodą, między ryby i korale, nie zrobię tego. Bawię się na brzegu, patrzcie, jak się bawię.

W moim domu są grube ściany, a klucza nie ma nikt poza mną, nawet siostra; ściany mają kolor nieba, sama je pomalowałam, ale patrzę na nie rzadziej niż kiedyś. Na trzecim piętrze mieszka Hindus, urodziłam się w jego kraju, był tam, gdzie się urodziłam i nawet w tym samym czasie, nikt inny na tej zimnej ulicy, nikt. Przypomina lwa. Iskry i żar, iskry i ciepło, iskry – i już nie jestem sama. Hindus mówi do mnie: jesteśmy tym samym, ja i ty, nie należymy do tego kraju, ani do żadnego innego. Czasem siedzę całkiem cicho i zjadam zielone jabłko, a na trzecim piętrze Hindus gotuje indyjskie potrawy, mocno przyprawione, laski cynamonu smaży w oleju i goździki też, a woń jedzenia rozchodzi się po klatce, przenika także moje drzwi; nieco później Hindus zbiega po schodach, zupełnie jak mały chłopak, myślę sobie i myję drugie zielone jabłko, i choć źle bym umyła, to nic nie szkodzi. Zbiega na dół, szybciej niż ktokolwiek inny, a ja siedzę całkiem cicho. Widzę go przez okno, a potem on dzwoni do mnie i prosi, bym wyszła na spacer; niebo jest granatowe. Opowiadał mi kiedyś: jak byłem dzieckiem, pewnego ranka odsłoniłem firanki i ujrzałem za oknem najwyższe góry świata, jeszcze mi wtedy nie szumiało w uszach. Gdy spacerujemy w deszczu pod rusztowaniami i śmiejemy się, on nie mówi mi nic pięknego. Opowiadał mi kiedyś: raz na wsi słyszałem, jak śnieg topnieje, ale czasem i tego nawet nie; tam przeczytałem setki stron książki. Mówię mu: kiedyś nie rozumiałam poezji, aż do chwili, gdy przeczytałeś mi wiersz; wtedy ją pojęłam, ale tylko na krótko. Wiem, że zanim każde pójdzie do swojego mieszkania, zaczniemy rozmawiać o śmierci i krzyczeć do siebie, żebyśmy potrafili się rozstać. Mówię mu: byłeś w miejscu, gdzie się urodziłam i w tym samym czasie, i tak się chyba dzieje, że od samego początku kawałki układanki powoli wracają na swoje miejsca. Nie boję się już jak dawniej, nawet w dzień. Zbieram jego czarne włosy ze swojej kanapy i wyrzucam, bo wiem, że pojawią się nowe.

Mój dom ma grube ściany i sama decyduję, kogo wpuszczę do środka. Zima

była długa, myślałam, że nigdy się nie skończy. Odwiedził mnie wtedy ten w typie kuny, który przyniósł swojego kota; w tym samym czasie odbywał się remont balkonu i mężczyźni wspinali się za oknem, a kot drapał kanapę i bluzkę i mruczał w moich ramionach, a w nocy zrzucił drewniane figurki zwierząt z pianina i odsunął korek od ścieku: w rurze odpływowej pełno było sierści o różnej barwie i długości. Kuniarz zadzwonił i spytał, co słychać u kota: stoję właśnie na szczycie góry i pytam, co z kotem, a ja na to: przyjedź i zabierz swojego kota, ale wejdź głębiej do mieszkania, jak przyjedziesz. Ale już go nie ma, odszedł. Od tamtej pory minęło sporo czasu i przyjaciele wiedzą, co mam na myśli, gdy mówię, żeby pilnować swoich granic, zwłaszcza na początku, bo jak się wtedy zatną, to niemożliwe, by je później odtworzyć. Od jakiegoś czasu nie zamykam drzwi na dodatkowy zamek, a wychodząc z domu, zostawiam otwarte okno, choć mieszkam blisko ziemi; w pokoju, w którym księżyc niebieski wszystkie moje rzeczy, nie było w ogóle drzwi, tylko otwarta futryna, gdy stanęła w niej mama. Hindus jest młodym człowiekiem, jak chłopiec, jestem od niego młodsza; czasem aż się boję, że jestem taka młoda i chcę zapomnieć o zbytecznych sprawach, zachowując tylko to, czego potrzebuję i możliwe, że to zrobię i przestanę wyobrażać sobie, że mam jakieś guzy. Gdy szukam słów, rozglądam się za nimi w powietrzu, które mnie otacza, wszystko jest w porządku, a gdy wraz ze słonecznikiem pojawią się w moim domu małe robaczki, to nic nie szkodzi. Okna Hindusa są takie same jak moje, widzę przez nie znajome drzewa, ale z bardziej wysoka i z daleka. Bawię się na brzegu, patrzcie, jak się bawię.

I przysłała chwila, kiedy na przedmioty wróciły kolory, które zbyt długo były nieobecne. Czas płynął od tej pory wolniej niż przedtem. Przedmioty pachniały i błyszczały bardziej niż dawniej. Było ich więcej niż kiedyś, i książek też, i chociaż nie zdążę ze wszystkim, to nic nie szkodzi. Zachwyciło mnie to, oczarowało jak dziecko i zdałam sobie sprawę, że jestem dorosła.

Nie zasłaniam już ramion przed tym światłem, a jeśli fale wleją mi się do nosa, to nic. Gdy morze wyrzuci martwe meduzy tuż przy mnie, przeniosę się w inne miejsce. Kobiety ubrane na czarno siedzą w cieniu i piją sok truskawkowy przez kartonowe rurki. Na tłustych palcach noszą duże pierścienie, a gdy się śmieją, to całym ciałem. Grube palce u nóg z pomalowanymi na czerwono paznokciami zanurzyły w chłodnym piasku. Moje włosy zmieniają w słońcu kolor na piaskowy i wybieram z kamyków tylko te najładniejsze. Nie zasłaniam się już przed tym światłem.

### 3.

Mój ojciec spotkał moją matkę w pociągu jadącym z Luksoru do Asuanu. Tego samego wieczora zaniósł jej czerwone róże, zdaniem mamy to było zabawne, ale tych róż było dużo i pachniały mocniej niż fińskie, i mój tato też pachniał, chyba nawet za bardzo, wcale nie był nieśmiały. Tego samego wieczora oświadczył: kocham cię, Anu, ale mama nie mogła jeszcze wtedy odpowiedzieć tak samo. Tydzień później w Aleksandrii mama zachorowała i tato rękami wycisnął jej sok z cytryny, wyciągnął ze środka miąższ, wrzucił do soku kostki lodu i cukru, do wysokiej i smukłej szklanki, nie zostawił na niej nawet jednego odciska palca, bo zewnętrzną powierzchnię szklanki wytarł dokładnie, bardzo dokładnie; mężczyzna powinien obchodzić się tak na przykład z okładkami płyt i przewodami elektrycznymi, i kostkami masła; jak wspaniale, wspaniale. Był wieczór i na dworze panowała wreszcie cisza, tylko okrzyki ulicznych sprzedawców, bezdomne psy, bezdomne koty i gdzieś z daleka wezwanie do modlitwy. Mama była chora, nie za ciężko, ale jednak, a tato ją wyleczył, nikt wcześniej nie wierzył, że to się da zrobić, nikt nie był do tego zdolny ani nikt nigdy już nie będzie umiał tego uczynić, nawet ja; siedziałam na parapecie w szpitalu, machałam nogami, przyjrzałam się im i zauważyłam, że utylałam. Tego wieczora poszli potaćzyć i jedli panierowane główki jaskółek, mama kiedyś o tym wszystkim czytała, i powiedziała: kocham cię, Ismael, i tego wieczora włosy mamy w świetle księżyca nie były białe ani żółte, tylko o barwie światła.

Teraz jest sierpień, zapada zmierzch, a my pijemy wino, rozglądamy się wokół, by pamiętać to wszystko także w zimie. Słońce świeci już nisko i spokojnie, chociaż czasem prosto w oczy, a wtedy absorbują nas drobne sprawy, o których nie umiemy sobie nawzajem opowiedzieć.

Jednak wszystko zaczęło się w pociągu, który jechał z Luksoru do Asuanu, tak jak wiele historii, które zaczęły się i zakończyły w pociągu, i dlatego do pociągu nie wolno wsiadać w beztróskim nastroju, nigdy, w żadnym wypadku. Raz na granicy: zaciemniony pociąg, celnik z latarką i wilczurem, patrzyliśmy przed siebie w milczeniu, baliśmy się, a snop światła błędził i po naszych oczach. Kiedy jedziesz do Moskwy, na stolikach w wagonie restauracyjnym leżą plastikowe obrusy i stoją sztuczne kwiaty w małych wazonikach, też z plastiku; nie wsypiesz cukru do herbaty? A może jednak? Raz pewna stara kobieta ubrana na czarno, w czarnej chustce na głowie, czarne oczy pośrodku zmarszczek, chyba nigdy drzwi nie były tak mocno zamknięte przede mną, na dworze ślepień wilków. Stara kobieta ubrana na czarno, małe usta zaciśnięte pośrodku zmarszczek jak obcy dom w obcym mieście, i chociaż mam klucz, chyba go jednak nie użyję. Stara kobieta w czarnym ubraniu, a ja nie wiem, gdzie oczy podziać, w oknie widzę siebie.

Pociągi rzadko wypadają z szyn, przeważnie zawożą nas do celu, w pociągu powinniśmy się bać innych rzeczy. Ale gdy tato zobaczył mamę w pociągu jadącym z Luksoru do Asuanu, nie bał się niczego.

Nie wiem, z jaką prędkością pociąg wtedy jechał, gdy mój ojciec zapukał do drzwi, za którymi moja matka siedziała w towarzystwie przyjaciół, z papierosem w szczupłych palcach, popiół oczywiście spadał na podłogę. Na pewno jechał szybko, bo od Luksoru oddalił się spory kawał, do Asuanu miał jeszcze daleko, po drodze prawie nikt nie wysiadał. Ale nie słyszę odgłosów pociągu, chociaż nasłuchuję. Nie znam także pory dnia, więc powinnam być ostrożna, znam za mało szczegółów i nie mogę ich w żaden sposób sprawdzić. Jednak pora dnia wyznacza pozycję słońca, a właściwie na odwrót, te dwie rzeczy są w każdym razie od siebie zależne, to pewne, i tak wyznaczony zostaje kąt, pod którym światło wpadało przez okno, jeśli go nie zasłonięto. Wydaje mi się jednak, że zasłonki były zaciągnięte, jestem tego prawie pewna, bo moja mama cierpiała na migrenę i z powodu upału źle się czuła, a ludzie siedzący z nią byli troskliwi, bo znali ją od lat, pamiętali podróż do Danii, przez Szwecję jechali samochodem, a mama leżała na tylnym siedzeniu, wijąc się z bólu, ale się nie skarżyła, moja mama cierpiała w milczeniu. Gdy myślę o bólu innych kobiet, także o swoim, widzę, że ból mojej mamy był bardziej elegancki, co wydaje się dziwne, jak ból może być elegancki albo mniej elegancki, ale tak już jest, że mama wszystko robiła bardziej elegancko niż ktokolwiek inny; tak trudno po tylu latach dopasować się do tego stylu, naprawdę trudno próbować naśladować ten styl, skromny, a jednocześnie tak wyjątkowy. Mama cierpiała bardziej elegancko niż inni, a kości jej ramion było wyraźne widać, smukłe kości, długie, długie palce, biała skóra i pierścionki, które nie wchodzą na moje palce. Bo ja zabijam złowione ryby rękami taty. Stojąc, mama opierała się o fotel. Słuchała, a jej brwi unosiły się i marszczyły czoło, oczy zaś patrzyły spokojnie, czekały na nasze słowa, by sięgnąć poza nie, tam gdzie mogli się dostać tylko niektórzy, a powrót stamtąd niszczy, bardzo niszczy człowieka, który opadł już zupełnie z sił; mimo wszystko usta mamy zawsze się uśmiechały, do samego końca. Wiosną słońce padające na wszystko prześwietlało ją na wskroś, mawiała do światła: chodź tu i ono przychodziło, świeciło przez nią i zapalało w niej ogień.

Moja matka. Takich kobiet już nie ma. O ich cierpieniach pisano książki i opery, one chudły i kaszlały, ostatniego dnia swego życia wyglądały przez okno, sanatoria w górach, ciche kobiety, które zajmowały niewiele miejsca, ciche kobiety, które nie pochodziły z tego świata, ciche kobiety, które umierały, zanim ich włosy pociemniały w połogu. Cierpienie innych kobiet, w nim jest krew, jest krew i pot, ale cierpienie mojej mamy to kości i szepty, dlatego o wiele bardziej przerażało. Ból mojej mamy był biały, szeleścił i skrzypiał, szumiał i przepadał bez śladu. Mama swego bólu, prywatnego bólu, nie dzieliła nawet ze swoim ciałem, wtedy może łatwiej dałoby się go złagodzić. Patrzyła na swoje ciało jak na obce

i odlatywała daleko, daleko w stan nieważkości, w powietrze. Ból mojej mamy przypominał pustą halę fabryczną; chore, suche z wycieńczenia gołębie na krawędzi dachu, jak stare gazety, i światło, które świeci przez kurz i głosy, odgłosy dochodzące z oddali. Moje cierpienie nie jest takie, ani cierpienie mojej siostry; my krzyczymy wniebogłosy, gdy przytniemy sobie palec w drzwiach, i tato też. Mama oddychała bólem i cierpieniem, one się w niej zadomowiły i w końcu ogarnęły ją całą.

Ale ponieważ tak już jest, że moja matka jest częścią mnie, a ja częścią jej, i ponieważ jest też tak, że nie potrafię siebie oceniać ani krytykować, to jak, jakże mogłabym oceniać i krytykować moją matkę, kiedy jest przecież częścią mnie, a raczej była, bo umarła.

W pociągu jadącym z Luksoru do Asuanu mój ojciec wszedł do przedziału, w którym nie siedział nikt mu znany; można więc wnioskować, że był wtedy dzień, bo w nocy drzwi przedziału zamknięto by, nawet na zasuwkę, i taki czas jest nieodpowiedni na zawieranie znajomości, nie mówiąc już o zakochiwaniu się. A tato wiedział, co wypadalo, a co nie, nie był już młody. Ponieważ był dzień, słońce na pewno świeciło, w Egipcie słońce zawsze świeci, dzięki niemu arbuzy dojrzewają na ciemnoczerwono, a ich pestki robią się duże i czarne; ono wysusza rozwieszzone na balkonie prześcieradła, zanim woda na kawę w czajniku zaczyna bulgotać, a jeśli prześcieradła są białe, robią się jeszcze bielsze. Widziałam kiedyś park pod koniec lata, trawa sucha i zwiędła, spalona słońcem, na ten widok ogarnął mnie smutek, czułam się zupełnie samotna; tak zawsze przytrafiało mi się w Egipcie, barwy płowiały i blakły, czasem wszystko wyglądało jak piasek. Bo gdy morze potrafiło podczas burzy zmienić barwę na szarą jak kamień, kiedy słońce było już tylko przecuciem za chmurami, to i piasek mógł być zielony albo błękitny, albo czerwony; okazałe kwiaty przy sukience mamy szybko zwiędły. Wysiadłam z samolotu, a gorący powiew uderzył mnie w twarz i pragnęłam zawrócić; duże kwiaty w dłoni ojca zwiędły, ale raz padało w listopadzie, wtedy ja z siostrą zaczęłyśmy tańczyć.

Ponieważ był dzień i słońce świeciło, okno zasłonięto, w przedziale panował półmrok, światło skąpe, przytłumione, o barwie zasłonki, która może miała kiedyś jakąś barwę, na pewno już spłowiała i zestarzała się, bo w Egipcie zasłonek w oknach pociągu nie wymienia się tak często jak w Finlandii, gdzie nie ma potrzeby ich wymieniać, bo w Finlandii słońce nie zdąży wypalić koloru z materiału, a i piasek nie wieje prosto z pustyni, strącając liście ze stojących na balkonie roślin doniczkowych, i nie zarysowuje płyt na posadzce balkonu, i nie męczy człowieka, który nie jest do tego przyzwyczajony. W Finlandii nie ma wszy i pcheł, które zagnieżdżają się we wszystkim, co miękkie i brudne, gnidy wszy widać z daleka, jeśli włosy są ich pełne. Czasem chcę, żeby tutaj w śliwkach siedziały robaki, a w lodach karaluchy i by prąd czasem wysiadł wieczorem, bo



wtedy nie musielibyśmy nic robić. Żeby pomarańcze były pobrudzone ziemią, a mandarynki miały listki na kawałku gałązki. By kupić zgniłe oliwki, ale tylko raz, wtedy można by się najpierw zdenerwować, potem złożyć skargę, a w końcu zmienić sklep i po tym wszystkim wpaść w dobry nastrój. Zasłonka w przedziale miała kolor jasnozielony albo różowy, albo żółty. Mogło być i tak, że materiał rozpruł się na szwie albo miał dziurki wypalone papierosami, kolor wypłował i nie miał większego wpływu na odcień światła, tylko trochę przytłumił nieokiełzaną siłę słońca. Była zima, listopad, a wtedy i Fin dobrze się czuje w Egipcie.

#### 4.

Moja matka odwróciła twarz do słońca. Kiedy zamknęła oczy, wszystko jakby znikło. Każdej wiosny, zanim śniegi stopniały, czekaliśmy na dzień, kiedy promienie słoneczne po raz pierwszy wpadną do naszego domu. Na stół w jadalnym wskakiwał wtedy rudy kot i kładł się na grzbiecie w plamie słońca. Pewnego razu zmienił się w mamę, ale właściwie nic w tym nic dziwnego. Po zimie nasze blade twarze zwracaliśmy ku słońcu. Wygłodniałe wiewiórki z cementarza, ich zimowa, do połowy wyleniała sierść, grób pod wodą i zgniłą trawą. Mama zamknęła oczy, uśmiechała się przez powietrze, lekkie i prześwietlone. Stała cicho, bez ruchu, wysoka, wysoka kobieta, pozostali zastygli jak na fotografii, a chmury płynęły w górze; odwróciła twarz do słońca.

Mama nie rozumiała upału. Tego gorąca, które jest, chociaż słońca nie widać. Egipskiego upału, indyjskiego upału, libijskiego upału. Upału. Nie rozumiała, że z upałem nie można walczyć, bo on wtedy nabiera mocy. Nie rozumiała, że należy cicho siedzieć w jednym miejscu, mówić półgłosem i starać się nie myśleć. Trzeba poczekać na pierwszy powiew wiatru, wyjść wtedy na balkon, oprzeć się o wystygłą poręcz, ale nie za mocno, bo jeśli woda z rur przeciekła do konstrukcji budynku, poręcz może się w każdej chwili złamać. Trzeba nasłuchiwać wezwania do modlitwy, trzeba się napić gorącej herbaty ze świeżych liści mięty, dodać cukru i wypić ze szklanki, która parzy, parzy palce, trzeba zjeść sera i arbuza i pozwolić, by sok z arbuza pociekł wzdłuż ręki i wywołał swędzenie. Trzeba być cicho, bo to, co ma się powiedzieć, przyjdzie samo i w ten sposób słowa zdążą przybrać formę, nabrać szlachetności, nie wystarczy ich, ot tak, wymyślić, muszą się dobrać, wyszlifować jak szlachetne kamienie albo stare państwa, i wtedy wymawia się je miękko; nie wolno rozpalać drugiego człowieka, a jedynie ochładzać. Ale mamę przepęłniała tęsknota, ciągnęło ją gdzieś daleko, a od tego robi się gorąco, bardzo gorąco. Spytała lekarza: czy dziecko wytrzyma taki upał, a lekarz pogłaskał moje spocone loczki i odparł: ono nie zna nic lepszego. W ogrodzie zoologicznym patrzyłam na wrony, a nigdy na lwy.

Tu jest za gorąco, powiedziała mama swojego ostatniego dnia, w październiku, byłyśmy w Finlandii; otworzyłam okno, ale to nic nie pomogło, te wszystkie sprzęty i lekarstwa, omszałe słowa, czerwone paznokcie u nóg pod prześcieradłem, i zdałam sobie sprawę, że mama umiera, że umrze lada chwila.

Moja matka nie pojechałaby do Egiptu w lecie, nie wtedy, kiedy była jeszcze możliwość wyboru, z tego można wnioskować, że ich spotkanie przypadło na zimę; na to są także inne dowody, listy, których nigdy nie zamierzam przeczytać, taśmy, których nie chcę przesłuchać. Na nich jest napisane *Very Private*, pochylonym pismem mamy, którego nie jestem w stanie podrobić, chociaż próbuję. Bo ja

podpisuję się ręką taty. Mama pod wpływem upału robiła się czerwona, jej twarz i szyja, a my nazywałyśmy ją indykiem. Nie wiem, czy teraz tego żałuję, bo tak wielu rzeczy żałuję, nawet mi wstyd, chociaż wiem, że mama tylko by się śmiała, ona śmiała się prawie ze wszystkiego, dobrodusznie jak anioł. Chociaż był listopad, słońce świeciło jasno, bo pociąg jechał z Luksoru do Asuanu, a one leżą blisko Zwrotnika Raka, ogólnie mówiąc Afryki, gdzie ludzie mają czarną skórę i noszą kolorowe stroje. Raz z siostrą spędziłyśmy dzień nad basenem, zgubiłam wtedy srebrną bransoletkę i już jej nie znalazłam. Była Wigilia, wieczorem oglądaliśmy nubijskie tańce ludowe, mężczyźni z Nubii są wysocy i czarni, po występie podeszli do naszego stolika i poprosili nas do tańca. Nie poszłybyśmy, gdyby mama nie powiedziała – idźcie; idźcie – dodał tato, więc poszłyśmy i zaraz nubijscy tancerze zaczęli muskać nasze dłonie spoconymi palcami, uśmiechali się do nas w sposób, do którego nie byłyśmy jeszcze przyzwyczajone, śmiali się, a ich zęby połyskiwały w światłach restauracji, przyciągali nas zbyt blisko siebie, a mama i tato klaskali do rytmu przy stoliku i o niczym nie wiedzieli. Gdybyśmy opowiedziały o tym tacie, zacząłby krzyczeć, krzyczeć na tancerzy, krzyczeć na kelnerów, krzyczeć na dyrektora hotelu tak, że fundamenty by popękały, basen by wysechł i z całą pewnością cała restauracja by opustoszała. Byłby zły także na nas. Dlatego nie pisnęłyśmy ani słowa, patrzyłyśmy tylko na siebie, a wieczorem pod kołdrą płakałyśmy, że nie jesteśmy w Finlandii, gdzie jest śnieg i hiacynty, i tylko kobiety, a nie mężczyźni, przynajmniej nie tacy, ale potem zaczęłyśmy się śmiać, bo przynajmniej miałyśmy siebie i wielką tajemnicę. *Very Private*, i tak zaczęłyśmy wyrastać ze starych ubrań.

Kiedy mój ojciec spotkał moją matkę, był listopad, mama wracała właśnie pociągiem z rejsu po Nilu, w górę rzeki, na południe. Wydawało jej się zabawne, że czarni jak węgiel mężczyźni mają śnieżnobiałe zęby i jeszcze bielsze rękawiczki, których już teraz pewnie nie noszą, a jeśli – to one pożółkły jak stara czapka studencka; to dziwne, że coś takiego ma teraz mniejsze niż kiedyś znaczenie, tak to bywa. Wtedy nawet lody pistacjowe były robione przez Greków; podawano je w metalowych czarkach, jadło się małymi, czterokątnymi łyżeczkami, czarka stała na talerzyku, między jej wysmukłą nóżką a talerzykiem leżała okrągła, cienka serwetka z papieru, dużo tych serwetek fruwało po tarasie o zachodzie słońca. Przypominam sobie też, że o wiele później w Kairze, w asuańskiej restauracji, zamówiliśmy kiszone ogórki, nie powiedzieli, że dzisiaj ich nie ma, ale przynieśli skąd indziej. Takie rzeczy sprawiają, że robi mi się smutno, gdy próbuję żyć w Finlandii, gdzie moje zamówienie ma kod, a ziemniaki przywożą już obrane z innego miejsca, zapakowane w plastik, gdzie na puszcze z oliwkami jest wydrukowana ostateczna cena, gdzie palacze nawet zimą, trzęsą się z zimna w małych grupkach na ulicy, bo nie wolno palić w środku, gdzie światło jest białe i we wnętrzach, i na dworze, gdzie farba nie zdąży się złuszczyć, a domy już się

maluje na nowo, gdzie asfalt ulic nigdy nie pęka, gdzie nigdy nie ma przerw w dostawie prądu, gdzie gorąca woda jest zawsze w kranie, gdzie programy w telewizji nigdy się nie spóźniają, gdzie ja się nigdy nie spóźniam. Próbuję żyć w Finlandii, próbuję naprawdę z całych sił, raz już prawie przestałam próbować, kiedy patrzyłam na wrony przelatujące ponad szarymi dachami, kiedy długo padało, kiedy papieros wypalił się do końca między moimi palcami, kiedy mój egipski rosół zaparował szyby od środka, kiedy spostrzegłam, że bardzo schudłam i czekałam od rana do wieczora i od wieczora do rana.

Na rejsie po Nilu mama stała sama na pokładzie, był wczesny poranek, patrzyła na Nil, na jego brzegi i wydawało jej się, że woda jest czysta, a piasek biały, wtedy zorientowała się, że myśli o ojczyźnie. Była pewna tego, że nigdy nie zamieszkałaby w Afryce, to postanowiła już dawno temu, jednak często myślała, że Egipt i Finlandia chyba niewiele się od siebie różnią. Było niebiesko, było białe i były połączone pustej ziemi. Ale jak bardzo się myliła, to ja wiem, bo gdy obieram pomarańczę, mogę zrobić cztery nacięcia, wtedy skórka łatwo odchodzi i pomyślę o Finlandii, albo mogę obrać długą spiralę, którą założę sobie na chwilę na przegub ręki jak bransoletkę i wtedy pomyślę o Egipcie; na pewno nie da się obierać na dwa sposoby, przynajmniej tej samej pomarańczy i to jest smutne, bo z tego nie można wybrnąć, z tego nie odchodzą żadne ścieżki, którymi mogłabym podążać, żeby nie wpaść w zły nastrój. Ale stojąc na pokładzie obok mamy, powiedziałabym jej: ta woda roi się od robaków, jadowitych robaków, jeśli pójdziesz się kąpać, to najpierw schudniesz, a potem umrzesz, bo w tej samej wodzie bawoły i dzieci, poza tym na pewno trupy i siarka, ta woda nigdy nie ulega wymianie; a wtedy mama zapytałaby: dziecinko, dlaczego próbujesz odebrać mi wiarę? Ale stojąc obok niej na pokładzie, byłabym kimś innym. Jeśli Egipcjanką – powiedziałabym: to wspaniały kraj, zwyciężyliśmy Izrael szóstego października, *madame*, i mamy długą historię, piramidy, groby, tama asuańska, *madame*. A jeśli Finką – rzuciłabym tylko: ale fajne widoki.

Nie mam nigdy odwagi wierzyć w to, co widzę, ani w to, czego nie jestem w stanie dojrzeć. Może dlatego, że moje oczy nie są piwne ani niebieskie, tylko takie mieszane, może dlatego, że nie jestem tym ani tamtym, chociaż jednym i drugim, może dlatego, że pochodzę znikąd, choć jednocześnie z dwóch krajów. Patrz mi prosto w oczy, powiedział Hindus, i to było dla mnie trudne, ale już nie jest. Dlaczego próbujesz odebrać mi wiarę, spytała raz mama, gdy rozmawialiśmy o Bogu i myślałam tylko o tych gwiazdach, które byłam w stanie dojrzeć. Dlaczego próbujesz odebrać mi wiarę? Już tego nie robię.

Z okna pociągu nie było widać Nilu, wszędzie tylko piasek, zaskieki z drutów kolczastych i tablice ostrzegawcze, a pociąg nie zatrzymywał się na wszystkich stacjach. Mama siedziała z dwojgiem przyjaciół w łagodnym listopadowym cieple, schładzanym powietrzem wlatującym przez szparę uchylonego okna, i przyglądała

się swemu ramieniu, które było niepokojąco czerwone, i w tej samej chwili tato zapukał do drzwi przedziału i wszedł do środka.

## 5.

Żyję przyszłością, mawiała mama, a to wcale nie była prawda. Tak naprawdę to ona żyła przeszłością. Bo chociaż kochała błyszczące samochody, chociaż stawiała obok nich i uśmiechała się, chociaż co rano chodziła pływać, potem w dzień projektowała reklamy, a wieczorami odwiedzała operę, często bawiła się i nocami, była również sekretarzem towarzystwa egiptologicznego.

Żyję przyszłością, powtarzała mama wiele razy, a dowodem na jej stwierdzenie mogło być to, że nigdy nie nosiła w sobie urazy ani nie była zła po tym, gdy przeprosiliśmy. Kto pamięta o zaszłościach, kij mu w oko, zwykła mawiać i uśmiechała się, a w ostatnim czasie nie chciała już, by robiono jej zdjęcia. Nie opowiadała nam pouczających anegdotek, nie przywoływała na świadków krewnych, którzy żyli już wyłącznie na pożółkłych fotografiach, nie próbowała zabraniać nam popełniać tych samych błędów, które sama robiła, co właściwie było jej błędem, bo jak to można inaczej określić? Nie uważała wieku za gwarancję mądrości, nie uważała się za miernik mądrości, nie uważała nas za gorsze od siebie. Nie wklejała zdjęć do albumów, nie pisała pamiętnika. Nie wiem, o jakiej porze się urodziłam, nie znam swojej wagi ani wzrostu przy urodzeniu, ani wielkości swojej malutkiej czerwonej rączki, nie przysporzyłam jej rozczarowania, wyrastając z niemowlęcia na dziecko, ani z dziecka na dorosłą – to jest ważne, najważniejsze ze wszystkiego; nigdzie nie poniewierają się różowe książeczki ani obcięte niemowlęce loczki, ani ząbki mleczne, ani świadectwa, ani zapiski, ani notatki. Tego, co jest warte zapamiętania, nie trzeba zapisywać. Ja również chciałabym zapomnieć o różnych sprawach, nie wierzę też, że jej się to mogło udać; myślę, że to wszystko w nią zapadło i już nie miała siły niczego dźwigać.

Kiedy mama miała cztery lata, stała z bukietem w ręku na stacji i czekała na ojca powracającego z frontu. Ale on nie wrócił, kwiaty z czasem zwiędły, a mamy szukali wszędzie, aż w końcu domyślili się, że czteroletni człowiek kocha z całego serca, nosząc w sobie wielką nadzieję i jeszcze nie rozumie, że tylko część marzeń się spełnia, chociaż liczbę spełniających się marzeń można zwiększyć, marząc o mniejszych rzeczach, ale tego czterolatka jeszcze nie wie, chociaż potrafi sama znaleźć drogę na stację. Takich historii powinno się zabronić opowiadać dzieciom i dorosłym, bo utrudniają zasypianie; wydaje mi się, że mój własny smutek nie może osiągnąć takich rozmiarów. W czasie wojny nie było nawet pomarańczy, wtedy mama marzyła o babeczkach z lukrem, ich rozmiar powiększał się wraz z głodem, czasem były wielkie jak domy, a może myślała o nich także dużo później w Egipcie, kiedy prasowała nasze mundurki szkolne, a pot nieustannie spływał jej po rękach na podłogę. Mała Anu, długie warkoczyki i pusta stacja, i brak tego, którego się kocha.

Kiedy mama pojechała do Egiptu, podróżowała o wiele dalej w czasie niż w przestrzeni; przyznaję, że nos taty był duży jak u faraonów, chociaż takich nosów jest sporo i bliżej, znaczy się w czasie i miejscu, na przykład w Palestynie. Wszystko, co nowe mogłaby dłutem zeszkrobać i wykończyć pracę małą szczoteczką. Kiedy mama i jej przyjaciele odsunęli zasłonki w oknie pociągu i ujrzeni bawiące się dzieci, wiedzieli, że w tę samą grę one bawiły się zawsze, to wiadoma sprawa, naprawdę możemy powiedzieć, że zawsze – tak bowiem długo na tych ziemiach rodzili się i umierali ludzie. Mama żyła przeszłością. Jestem tego pewna, ale możliwe, że się mylę. Mama żyła przeszłością, a to jest dużo łatwiejsze za granicą niż w swoim kraju, gdzie rozumie się za dużo i widzi się za dużo, i gdzie jest jasne, że nowe przynosi zawsze coś dobrego, chociaż jest i tak, że Kekkonen nic na to nie mógł poradzić, to nie był Mannerheim, inne ubrania i tak w ogóle, ale nie warto już z tym polemizować, a jeśli się spieramy, musimy pamiętać, by widzieć sprawy we właściwych proporcjach. Mamę złościło, że piramidy, świątynie, muzea i grobowce były w rękach idiotów, czasem nazywała ich deptaczami daktyli, kiedy indziej zbieraczami bawełny, albo nawet typami w szmatach na głowie, ale w takim momencie przeważnie obrażałam się i ona przepraszała. Ja zazwyczaj urazę noszę w sobie długo i mam pamięć jak słoń albo pamiętnik. Natomiast moja siostra nie zwykła się obrazać, włąziła do tekturowego pudła i wyobrażała sobie, że to domek pośrodku Fińskiego Lasu. Nie obrażała się nawet o to, że kupiona przez tatę choinka nie jest świerkiem, ale cedrem. Misiek mojej siostry miał na imię Połówek, bo nie był ani mały, ani duży; ani stary, ani nowy; ani czarny, ani biały; Połówek nie był ani tym, ani tamtym.

Raz Hindus powiedział mi: pojechałem do Indii i nie znalazłem już swojego domu. Wróciłem do Finlandii i tutaj też nie mam domu. Hindus, który płacze tylko jednym okiem. Opiera głowę na moim ramieniu. Mogłabym wziąć go za rękę i zaprowadzić gdzie indziej, on jest jak mały chłopiec, moglibyśmy odejść razem. Bo jestem pewna, że pośrodku zielonego morza znalazłoby się miejsce, gdzie nie musimy podejmować decyzji, gdzie możemy trwać w ciszy.

Mama nosiła kapelusz słomkowy z szerokim rondem, którym osłaniała twarz i skórę na odkrytych ramionach, a gdy otaczały ją ciasno małe, żebrzące dzieci, zwracała się do nich po fińsku. Mogłaby zagrać w każdym filmie, bo była najpiękniejszą kobietą na świecie, taka jest prawda. Była nadnaturalnie piękna, bosko piękna, niebiańska. Budziła się codziennie rano o piątej i szła popływać przed rozpoczęciem pracy. Jadała niewiele, bo nie znosiła jedzenia. Nienawidziła zapachu potraw, przywartego tłuszczu, brudnych naczyń, wszystkiego, co wiązało się z jedzeniem. Nie rozmawiała o potrawach ani o swoich dolegliwościach, ani o swoim ciele, nie mówiła o sobie. Mam taką przyjaciółkę, która nie potrafi usiedzieć na miejscu.

Moja matka miała 180 cm wzrostu i w 1972 roku ważyła 45 kilogramów.

Gdybym teraz zobaczyła lwy, to bym do nich sama podeszła, nie potrzebuję nikogo, kto by mi służył za tarczę, i zdaję sobie sprawę, że więksi ode mnie nie są bynajmniej silniejsi, ale zdjęcia ślubnego taty i mamy nie mogę oglądać, po prostu nie mogę. Na nim jest zbyt dużo czegoś takiego, co się skończyło za szybko. Może bym się znowu rozpłakała. Raz mama w wieku czternastu lat szła skrajem placu targowego, niosła koszyk pełen warzyw i owoców. Jej włosy, słomiane jak u malowanej dziewczynki, która w śpiewniku na stronie pieśni z prowincji Häme opiera się o pień brzozy i patrzy w dal, powiewały rozpuszczone, daleko za nią, na wietrze wiejącym od morza. Ulicą przejeżdżał samochód dyplomatyczny, zwolnił przy niej, szyba opuściła się powoli i siedzący na tylnym siedzeniu Arab popatrzył na nią tę krótką, lecz wydającą się długą chwilę, chwilę oblewającą policzki rumieńcem i podnoszącą dłoń do twarzy, i uśmiechnął się; arabski mężczyzna zachwycił się moją mamą przez chwilę i auto pojechało dalej. To była wspaniała chwila, piękna chwila, powiedziała mama, byłam piękna w jego oczach, opowiadała. Moim zdaniem, historia jest jednak całkiem odrażająca, bo gdyby jakiś Arab zwolnił koło mnie i zacząłby się na mnie gapić, pokazałabym mu środkowy palec i krzyknęłabym po arabsku: niech Bóg zburzy twój dom, albo: niech Bóg zniszczy twą duszę, i nie myślałabym o jego uczuciach, mój Boże, uczuciach, na pewno nie. Ale mama kiedyś była inna, nie potrafiła nienawidzić nikogo poza sobą. No i samochody nigdy przy mnie nie zwalniają.

Tylko ja i siostra możemy mówić źle o Arabach, bo same jesteśmy Arabkami. Egipt jest pełen Arabów, ale mama ich wcale nie знаła, aż do chwili, gdy tato zapukał do przedziału i wszedł do środka.



## 6.

Mój ojciec był w podróży służbowej, kiedy spotkał moją matkę i postanowił wszystko, co stare, odrzucić. Kiedy spotkał mamę, pogubił słowa i dźwięki. Kiedy spotkał mamę. Przebywał na pustyni, w oazie, jego walizka była wypełniona papierami, mapami i próbkami gleby w małych, białych woreczkach, a także słodkimi pomarańczami. On szukał wody. Mój tato, ogniste zwierzę, poszukiwacz wody, kąciki oczu w zmarszczkach od ciągłego śmiania się, ramiona spalone słońcem, łysa głowa, która błyszczała jak arbuz. Mam jego nos, jego uszy, zabijam złowione ryby rękami mojego ojca, Ismaela. Patrzę na czarno-białe zdjęcie z ozdobnie przyciętymi brzegami, jest staroświeckie, mój ojciec trzyma w ręku próbkę i wlewa do niej płyn, uśmiecha się, ma na sobie biały fartuch. Pozuje. Tato zawsze chciał być na zdjęciu, na wielu z nich opieram głowę na jego ramieniu i niczego się nie boję. On i jego przyjaciele badali różne rzeczy, podczas wypraw na pustynię nosili jasnobrązowe ubrania, piegi i okulary, byli poważni i szczupli, ich kości policzkowe czerwone od słońca. Rozmawiali o związkach chemicznych. Tato często spacerował ze wzrokiem wbitym w ziemię, bo szukał ciekawych gatunków kamieni i rozprawiał o nich długo, miał odczyty. Mama słuchała, ale my nie. Spacerował często z wzrokiem utkwionym w ziemię, ale w mieście, gdzie w ziemi nie było nic interesującego, rozglądał się dokoła i spostrzegał wszystko. Raz podniósł z ziemi kamień, a pod nim siedział skorpion. Nienawidzę skorpionów. Nasze mieszkanie wypełniały papiery ojca, stosy rosły z roku na rok coraz wyżej. Raz miałyśmy mysz, która mogłaby porobić dziury w papierach taty, więc on powiedział, że trzeba ją zabić, a my na to, że nie wolno jej zabijać, więc tato ją złapał i żywą wyniósł na dwór, ale dzieci dozorczy, wszy we włosach, muchy w oczach, utopiły ją w wiadrze, widziałyśmy to z okna, słyszałyśmy ich śmiechy i wiedziałyśmy, że nasz tato nie dotrzymał obietnicy. Na pustej parceli obok naszego domu budowano blok mieszkalny, robotnicy widzieli, jak żyjemy i nie mogliśmy już przesiadywać na kuchennym balkonie.

Mój ojciec był hydrogeologiem. Badał wodę gruntową na pustyni, a czasem gdzie indziej. Być kimś takim to bardzo ważne w Egipcie. Mawiał, że gdyby wybrał zamiast wody ropę naftową, byłibyśmy bogaci. Kiedy mieszkaliśmy w Libii, podsłuchiowano nam rozmowy telefoniczne, a na bramie naszego ogrodu wisiała niebieska tabliczka ONZ; gdy raz siedziałam na podwórku i śpiewałam kolędy, mama powiedziała, że lepiej, bym zaśpiewała coś innego. Nasz dom był duży, dookoła ogród, a w nim daszek, na daszku pnącze, na którym rosły duże czarne winogrona; kręciły się tam koty, które miauczały co noc, a ja z siostrą bawiłyśmy się w ślub, czasem udawałyśmy księżniczki w białych sukienkach, na ulicy kobiety też miały białe stroje i jedno oko odkryte, a zieleń centrum Trypolisu

była kolorem rewolucyjnym. Nauczyłam się czytać i czasem nawet myłam nasz niebieski samochód, a jego siedzenia nagrzewały się od słońca. I oliwki jak z bajki, liście ociężały od kurzu.

Narysowałam obrazek, na którym Kadafi mówi do tłumu ludzi i dorysowałam mu na nosie muchę. Tato powiedział, że mogłabym za to trafić do więzienia. Kiedy w Kairze zamordowano Sadata, ulice Trypolisu zapełniły się świętującymi, a następnego dnia ktoś zwrócił się do taty: czy to nie wspaniałe wydarzenie, a tato odpowiedział: Bóg w swoim czasie przywoła wszystkich do siebie, bo mój ojciec jest sprytny i dokładny, mój ojciec widział wszystko. Nauczył mnie patrzeć. Nauczył mnie widzieć. Mieszkaliśmy nie u siebie, byliśmy cudzoziemcami, uważaliśmy, że to przyjemne. A kiedy w telewizji pokazywano publiczne egzekucje, można to było wyłączyć. Pod fontannami kolorowe lampy i często fajerwerki. Czuliśmy się świetnie, dlaczegoż by nie? A gdy siostra była na czerwono, to ja na niebiesko, tak to już się działo, ale mimo wszystko znaczyło to samo. Czasem mama wołała nas do środka, zamykaliśmy okna i drzwi, bo z jadącego samochodu na ulice i ogrody rozpylano DDT. To było auto DDT i ono wyło. A my zbieraliśmy winogrona z naszej winorośli i robiliśmy z nich sok. Nasz zółw chodził za nami po ogrodzie, a czarne mrówki miały trzy trasy przemarszu. Zbierałam ślimaki do słoika, a nasze gołębie wracały do domu przed zachodem słońca. Raz mama ugotowała fińską zupę cebulową z torebki, którą zachomikowała, ale właśnie wtedy z sufitu do garnka zaczęły spadać robaki i zupa się zmarnowała. Zupełnie jak w czeskim filmie, którego nie powinnam oglądać, gdzie starszy człowiek zaprzyjaźnia się z małym chłopcem i przygotowuje mu wspaniały posiłek, ale chłopiec nie pojawia się i mężczyzna czeka cały wieczór przy zapalonych świecach. Albo ten wczesny ranek, kiedy matka mamy nakryła nam do śniadania, na które było solone mięso, chociaż nie wieprzowina, ale nam tak się spieszyło na samolot do Egiptu, że nie zdążyliśmy tego zjeść; takich rzeczy z roku na rok przybywa, stary człowiek siedzący sam na tarasie restauracji, on nie powinien przebywać samotnie w Wenecji, tak nie może być; młodzieniec w białym ubraniu, za dużym, za białym, blady chłopak i zwiędłe kwiaty w jego szczupłych palcach. Na wizytówce taty było napisane *senior water resources consultant*; co lato próbowałam pomóc mu szukać na plaży wody gruntowej swoją plastikową łopatką. Czasem morze wyrzucało zdechłe meduzy tuż obok mnie, wtedy byłam przestraszona, albo fale wlewały się do nosa. Znalazłam wodę, ale była słona, więc przesunęłam się dalej od morza, ale tam musiałam kopać głębiej. Kiedy w nocy zastanawiałam się nad granicami kosmosu, gdzie wszystko się kończy i co mogło być za nimi, nie bałam się dłużej niż chwilę, bo byłam pewna, że to zrozumieć, jak trochę dorosnę.

W szkole uczyłam się, że Egipt jest pępkiem świata. Także tego, że pustynia Sahara była niegdyś uroczym, kwitnącym ogrodem, jak w baśniach z tysiąca

i jednej nocy, ale Rzymianie zasiali tam sól i ona wyschła. Nauczyciel był kiedyś pilotem samolotu bojowego, walczył przeciwko Izraelowi, miał jedną rękę bezkształtną od opuchlizny. Kiedy otrzymałam fińskie obywatelstwo, zostałam zwolniona z jego lekcji i już więcej nie musiałam co rano pozdrawiać flagi. Mój tato rozdawał swoje wizytówki każdemu, niczym Japończyk, wstydziliśmy się tego. Był czasem zmuszony nocować na pustyni. Raz obudził się rano i zobaczył, że cały namiot pokryły od środka czarne skorpiony. Nienawidzę skorpionów. Wyśliznął się cicho z namiotu, niczego się nie bał, ten mój tato. Raz z helikoptera taty oderwał się wirnik i maszyna spadła na wydmy. Nikt nie zginął. Ale on i jego kolega musieli wiele dni spędzić na pustyni bez jedzenia i picia. Trzymali się blisko wraku, to był pomysł taty, nie warto ruszać w wędrówkę przez pustynię, kiedy się nie zna swego położenia; palili swoje ubrania, żeby dać znak. Kiedy ich uratowano, nie dostali wody od razu, bo ich gardła by tego nie wytrzymały. Najpierw podano im olej wyciśnięty z nasion sezamu. Raz tato zasnął w swoim samochodzie terenowym, a gdy się obudził, na brzuchu siedział mu okropny, jadowity pająk. Zabił go wielkim kamieniem. Tato przywoził z oaz słodkie pomarańcze, były mniejsze niż te ze sklepu, ale słodsze. Przywoził ich całe kilogramy i mama wyciskała z nich litry soku, a tato po tych podróżach przez wiele dni nie krzyczał. Za młodu studiował w Ameryce. Frank Sinatra śpiewał mu *Happy Birthday*. Pielęgnował ogrody, żeby mieć kieszonkowe. Nauczył się mówić *son of a bitch*. Przebywał w Pradze w roku 1968 i zapamiętał tylko kwitnące drzewa wiśni. Był w podróży służbowej, kiedy zobaczył mamę w pociągu, zapukał do jej przedziału i wszedł do środka.

## 7.

Moja mama miała duże jasnoniebieskie oczy. Później wniknęła do nich szarość, jak chmura deszczowa, która nie zdążyła nigdy na czas odpłynąć. Kiedy spotkała mojego ojca, jej oczy skąpane w słońcu szukały jego blasku, by załsnąć. A ojciec nie szukał w ziemi ropy, którą mógłby porównać chociażby do cennego aksamitu albo do oczu swojej siostry, albo do nocy, które są tak czarne, że aż granatowe, nie, on nie szukał ropy, tylko wody, szukał w ziemi czystej i niesłonej wody, szukał w ziemi źródeł, o których wiedział, że są w niebie, źródeł, które połyskują niczym diamenty w dziennym świetle, diamenty, których nie można zamienić na pieniądze, diamenty, które są lżejsze, jaśniejsze i większe niż te uważane za prawdziwe; źródeł, przy których bogobojni piją wino ze złotych kielichów, nalewane przez anioły. Mój ojciec był hydrogeologiem, badał wodę, badał minerały gruntu, gatunki kamieni, badał kształt powierzchni ziemi, z głową przechyloną na bok słuchał opowieści Beduinów i lekko się uśmiechając, naśladował ich narzecze, na swój własny czarujący i wyniosły sposób; obmywając ubrudzone ziemią słodkie pomarańcze, prosił Boga, by stały się czyste, dolewał do wody pitnej esencji wyciśniętej z płatków róży, łamał w ten sposób głodówkę każdego wieczora ramadanu. Opowiadał mi, że i Prorok tak czynił, chociaż co do tego mam wątpliwości, to nie może być prawda, bo i skąd Prorok wziąłby róże, migdały to tak i cykady; tato podlewał małą, zieloną konewką z plastiku stojące na balkonie kwiaty w doniczkach, a gdy się pochylał, bolały go plecy, bo już nie był młody. W gorącej wodzie raki robią się czerwone i nic z nich nie wycieka przez pancerz. Mama była z wody, urodziła się pod znakiem Raka. A pochodzący z wody są wyjątkowo czarujący, o tym i gwiazdy mówią; długie, bardzo długie włosy spowijają takich ludzi, a ich twarze błyszczą, oni czepiają się rękawów, wiszą tak i płaczą, a w ich oczach łez nigdy nie zabraknie; czasem to zadziwia i ich samych, są nieco zdyszani na suchej ziemi. Mam przyjaciółkę, której bólu nie widać, jeśli się o tym nie wie, ona śpiewa jak syrena, i taka była moja mama, często siedziała ukryta za książką, nie przewracała stron, szara chmura nie odpływała, jej włosy pociemniałe w połogu. Tato nie umiał pływać. Czasami w dźwiękach muzyki słyszeć taki sam dysonans, który jednocześnie drażni i sprawia przyjemność, czuje się go w nerwie krzyżowym i w koniuszkach palców, przez niego marszczy się czoło, a jeśli oczy są przymknięte, to w tamtej chwili otwierają się szeroko, ale jeśli są otwarte, zamykają się, mocno zaciskają; przecież zrozumiałe, że to tatę zawstydzalo, a nas śmieszyło, teraz już nie wiem, co mam o tym myśleć. Mama stopniowo rezygnowała z całej swojej biżuterii, ale nigdy nie wyrzekła się pierścionka z jasnoniebieskim oczkiem z akwamaryny. Ten pierścionek, który nie pasowałby na nikogo innego, jeszcze kiedyś rzucę w morze. W chwili, gdy tato

pukał do przedziału, mama odwróciła ku niemu swoje błękitne oczy.

Kiedy mój ojciec się przedstawił – mam na imię Ismael, co znaczy: najskrytsze pragnienie człowieka, to moja matka odparła: jestem Anu, a to nic nie znaczy, powiedz mi, co to imię mogłoby znaczyć? Określ mnie. Narysuj mnie, bo sama tego nie potrafię. Zaznacz mi granice, będę taka, jaką zechcesz. Ale przecież tato nie pragnął innej od niej kobiety.

Ja i siostra mamy długie, kręcone włosy i używamy dużo perfum, śmiejemy się też głośniej niż inni. To ważne, ważniejsze niż cokolwiek innego; wpadające do pokoju ciemnoniebieskie światło to błękit nocy i błękit księżyca, a tutaj wszystko jest jasnoniebieskie, te tysiące jezior, ten blask, ja tam wolę pływać w morzu.

## 8.

Okno przedziału zakrywała porwana, wypłowiała od słońca i czasu brązowa zasłonka. W Egipcie może i tak się zdarzyć, że kiedy słońce zaczyna zachodzić, pierwszy wieczorny podmuch porusza firanką, która godzinami wisiała nieruchomo, i w tej samej chwili z pobliskiego meczetu dobiega wezwanie do modlitwy. Wkrótce słychać je z czterech, pięciu meczetów i to wcale nie przeszkadza. Wtedy wydaje się, że istnieje tak wiele, czego jeszcze nie było, chociaż jednocześnie wydaje się, że nie istnieje nic, bo wszystko i tak skryje się pod dźwiękami dobiegającymi ze szczytu minaretu, wysokie, wielopiętrowe budynki, których rury ciekną, a fundamenty są słabe i kruche, te balkony, o których barierki nie należy się opierać, popsute windy i puste parcele, na które nowe życie wnoszą worki ze śmieciami, ulice zalane wodą ściekową i zniszczone brudami z kanalizacji, muchy, szczury, które wdrapują się przez lufciki do mieszkań i straszą fińskie kobiety, o skórze spalonej słońcem; fińscy mężczyźni w niebieskich koszulach, lekkich jak powietrze, oj, jak wtedy tęskno, te brzozy i cała reszta, smukła i pełna gracji; ale zaproszenie do modlitwy, dochodzące z wielu minaretów, wciska się do uszu każdego, pokrywa sobą wszystko i nic, ale to nic już nie istnieje, kiedy słońce w Kairze zaczyna zachodzić i ustępuje miejsca nocy.

Jeśli zasłonka poruszyła się, gdy ojciec wchodził do środka, w przedziale zrobiło się nagle jaśniej, ciepła żółta błyskawica przenikająca kołyszący się w powietrzu kurz zapaliła włosy mamy i wypełniła jej oczy pogodnym latem, a lekki podmuch wiatru ochłodził jej opalone ramiona i podniósł kąciki ust do uśmiechu; jestem pewna, że jeśli moja matka lekko się uśmiechnęła, to mój ojciec zdał sobie sprawę, że istnieje tak wiele, czego jeszcze nie było, chociaż jednocześnie, że nic innego nie istnieje; popiół z popielniczki sfrunął na brudną podłogę, a potem znowu zrobiło się ciemniej. W sąsiednim przedziale Amerykanin tłumaczył młodej żonie, jakie tu wszystko jest wielkie i stare; pociąg zwolnił na stacji, na której się nie zatrzymał, a wrona zdążyła na czas poderwać się z torów.

## 9.

Jest sierpień i skały zrobiły się ciepłe. W miodowe wieczory zbieraliśmy się na jedzenie i picie, ja i moi przyjaciele, a nigdzie nie słyhać było płaczu dziecka. Miodowe wieczory, o nich czytałam i marzyłam, urządzimy je sami, nikt nie będzie nam niczego opowiadał, tego nawet nie chcieliśmy. Sitowie zarosło zatoczkę jeziora i woda pod wieczór robiła się zielona. Zapachów wokoło wiele, mieszały się między sobą i bardzo nas to cieszyło. Wazki zrobiły się tak okazałe, że wkrótce pewnie wybuchną niczym gasnące gwiazdy. Po całym dniu poczerwieniały nam policzki i przez wiele dni nie patrzyliśmy w lustro. Baliśmy się mniej niż przedtem, śmialiśmy się częściej, patrzyliśmy sobie w oczy i nawet popłakiwaliśmy.

W taki sposób to miasto stało się moim. Widzę je na własne oczy. Są miejsca, w których bywam codziennie, one są moje. Ulice są moje, ja i przyjaciele mieszkamy sami i radzimy sobie z tym. Mamy psy, dzieci, rośliny doniczkowe i tego już nie można nazwać zabawą.

Zimą, kiedy wszystko było jeszcze martwe, dni pobrzękiwały niczym kryształ i za bardzo szumiały. Kiedy nawet grube mury nie zdołały zatrzymać zimna na zewnątrz, przyprowadziłam z restauracji starszego człowieka, który opowiadał tylko o swojej żonie; dopiero w pokoju spostrzegłam, że jest pomarszczony i szary. Poprosiłam, by wyszedł i znów byłam sama.

## 10.

Kilka lat przed tym, kiedy moja matka spotkała mojego ojca, kilka lat przed tym, kiedy postanowiła wyrzucić przeszłość, kurz i wspomnienia, obie rzeczy złe, kilka lat przed tym, kiedy przestała chronić się przed światłem, kilka lat wcześniej pojechała na urlop na Wyspy Kanaryjskie. Chciała być sama i umiała to robić, wielu mężczyzn śpiewało pod jej oknem, nikt jednak nie dotknął jej włosów. Są tacy, co jadą na rowerze pod wiatr, a nawet w zacinającym deszczu, i wydaje im się wtedy, że lecą. Ale mama nie chciała nikogo poddawać próbom, ani siebie, ani wiatru, ona wystawiła twarz do słońca. Pierwszego wieczora założyła żakiet i obcisłe spodnie srebrnego koloru, które rozsiewały dokoła blask. Ja i siostra nigdy nie zmieściliśmy się w ten komplet, to wyzwanie, któremu już nawet nie próbujemy sprostać, to wyzwanie, z którym nie chcemy się zmagać, to wyzwanie, z którym nie powinniśmy się nigdy zmagać, nigdy. Mama miała na głowie rudą perukę, sandaalki też były srebrne. A mężczyźni, różni tacy, posyłali jej natrętne spojrzenia i biegli za nią jak psy.

Kiedy mój ojciec zobaczył moją matkę po raz pierwszy, ona była zupełnie inna. Tego dnia miała na sobie bawełnianą sukienkę, luźną i bez rękawów, kości się na niej odznaczały, taka była cienka, sukienkę w szerokie białe i jasnozielone paski, jak na fladze Nigerii. Jej ramiona, białe niczym lody waniliowe robione kiedyś przez Greków, były szczupłe jak u młodej dziewczyny. Bez żadnej biżuterii, tylko jasne, bardzo jasne włosy związane na karku. Tego dnia nosiła sandaalki z białego płótna, jej paznokcie miały naturalną barwę. Ojciec pamiętał to wszystko po wielu latach, może zbyt dokładnie, przecież jeszcze wtedy nie znał mamy, a może znał, a później już nie? Ale czyż mama nie stała się ładniejsza dopiero później, czy to nie było pod każdym względem sprawiedliwe, że tato z każdym dniem widział mamę piękniejszą, że stare wspomnienia ustąpiły miejsca nowym, to dlatego mama nie chciała pamiętać, to dlatego nie pamiętała?

Kiedy mój ojciec zobaczył moją matkę po raz pierwszy, ujrzał anioła. To nie jest żadne porównanie, nie zajrzał do przyciemnionego przedziału, mówiąc do siebie: ta kobieta przypomina anioła albo – ona ma anielską twarz, on po prostu zajrzał i stwierdził: tam siedzi anioł. Właśnie tak było. Nie tworzę tych historii, nie wymyślam ich ani nic nie kombinuję, nie muszę, bo tato właśnie tak mi to opowiedział, nie raz, nie dwa, ale wiele razy, kiedy jedliśmy, i słońce zaszło, i wszystko było jeszcze w porządku. Ta chwila była niczym religijne oświecenie, może nawet nawrócenie, i przypominała pierwszy słoneczny dzień wiosny. Takiej chwili właściwie nie można opisać, ona jest poza słowami, przerasta je. Kiedy tato zobaczył mamę, ujrzał anioła.

Mama nigdy nie mówiła o aniołach. Uważała, że niebo i piekło są tu, a nie



tam, i wiedziała, o czym mówi, bo obserwowała z tatą gwiazdy na najbardziej południowym cyplu Indii, a tato napisał na piasku ich imiona; pomyślała wtedy: to jest niebo, o którym się mówi. Ale w Arabii Saudyjskiej mężczyźni wołali ją z okien samochodów, dookoła domu stał wysoki mur i w ogóle nie mieliśmy przyjaciół; tato siedział w pracy do wieczora, wtedy mama myślała sobie: to gorące miejsce musi być piekłem, w którym nawet piwem nie można orzeźwić umysłu.

Ale mój ojciec wierzył, że niebo i piekło są tam, a tu jest ziemskie życie, które ma koniec, potem wszyscy czekają na dzień sądu ostatecznego – muzułmanie idą do raju, ale jeśli nie byli dobrymi muzułmanami, na krótko dostają się do piekła, a stamtąd do raju, także chrześcijanie i żydzi dostają się do raju, chociaż do innych części niż muzułmanie, a jeśli nie byli dobrymi chrześcijanami i żydami, na krótko dostają się do piekła, i stamtąd do raju, ale cała reszta, hinduiści, buddyści i komuniści idą do piekła i nigdy się stamtąd nie mogą wydostać, bo jeszcze na ziemi dowiedzieli się o prawdziwym Bogu, ale odwrócili się od niego; oczywiście, gdyby nigdy nie słyszeli o prawdziwym Bogu, on byłby dla nich łaskawy. Gdy spytałam, czy mama pójdzie do innego nieba niż my, tato odpowiedział, że tak; więc pomyślałam, że jeśli piekło jest dla wszystkich wspólne, wolę iść tam. Tato opowiadał o obfitych, rajskich zdrojach, z których wypływa bezalkoholowe wino i anioły częstują nim pobożnych, a ja spytałam, kim są te anioły, a tato odpowiedział, że kobietami; miałam nadzieję, że mogę się stać mężczyzną. Tato mówił, że anioły noszą białe szaty, z domieszką zielonego, bo biały i zielony to ulubione kolory Proroka, a ja spytałam: skąd to wiesz, on na to, że tak jest zapisane. Mają długie, jasne włosy, aż do kolan, i są wysokiego wzrostu jak mężczyźni i uśmiechają się, promieniują światłem, a słońce i tak zgaśnie w dniu sądu ostatecznego. Kiedyś narysowałam Boga, któremu usługiwały anioły: wiązały mu sznurowadła, ale tato rozgniewał się i kazał mi podrzeć rysunek. Bóg jest zbyt wielki, by wolno go było rysować i nie potrzeba mówić na głos wszystkiego. Kiedy tato zobaczył mamę, ujrzał biel i zieleń, dłonie, przez które przenikało światło, tak szczupłe i jasne wtedy były, ujrzał włosy, nie białe ani nie żółte, tylko o barwie światła; na korytarzu pociągu było widniej niż w przedziale, bo okno zakrywała zasłonka, i on wszedł z jasnego korytarza w półmrok, a spał niewiele, by zdążyć na pociąg; miał już czterdzieści trzy lata, długo żył sam; te Egipcjanki, ich skóra nie oddycha, błyszczą się i są bardziej tu niż tam, one są całkiem tutaj, pachną tutaj i dobrze gotują, a gdy jedzą mango, sok ścieka im między palcami na talerz i brudzi im usta, wysysają nawet szpik z kości i śmieją się spoza nich, one nie są aniołami, śmieją się całym ciałem, są miękkie jak brzoskwinie, a włosy mają gęste i czarne, tak czarne, że niemal granatowe, z nich nie wypływa światło, ale nocą ich policzki połyskują niczym księżyc, a księżyc robi wariata z człowieka, który już nie jest młody, ale i nie stary. Gdzieś trzeba podążać, czegoś brakuje, brakuje, czegoś brakuje. Czegoś brakuje.

## 11.

A jeśli moja mama rzeczywiście była aniołem? Skąd mogłam to wiedzieć, za dużo podejrzeń wyczerpuje, ona była przecież także człowiekiem. Kiedy nie jadła, chudła i jej zapalenie nie mogło się już cofnąć. Moja mama miała w sobie komórki, które były niszczone przez inne komórki; po co w ogóle rozprawiać o aniołach, kiedy istnieją ludzie, a gdy ludzkie komórki niszczą inne komórki, gdy sok z mango spływa po palcach na talerz i brudzi usta, gdy może być i tak, że już czuje się własne włosy na karku. Albo gdy Hindus wyjada talerz do czysta, i mówi z pełnymi ustami, i gestykuluje, a gdy spuszcza wzrok, te jego długie rzęsy. Po co rozprawiać o aniołach, kiedy Hindus rzuca marynarkę na oparcie krzesła, kładzie gazetę, pęk kluczy i mówi: chodź już tutaj i zapomnij o tej kawie. Czasami leżę na podłodze i mam piętnaście lat mniej niż teraz, tego sobie nie wyobrażam, ale naprawdę na tyle się czuję, i dotykam skórą podłogę pod sobą, jak wiele mnie, a jednocześnie tak mało. Po co rozprawiać o aniołach, kiedy po zimie słońce igra na ścianie, po długiej, długiej zimie i kiedy wszystko znowu jest po tej długiej zimie w porządku.

Po co rozprawiać o aniołach, kiedy poszukiwacz wody kurczy się z braku wody i zaczyna krzyczeć. Bo w Egipcie tato zaczął krzyczeć. Razem jest przyjemnie obserwować obce gwiazdy, razem jest przyjemnie ostrożnie smakować, być zdziwionym, razem przyjemnie być zdumionym i się dziwić, ale w Egipcie tato wszystko zrozumiał, a mama nie pojęła niczego; jej oczy zaczęła zasnuwać żółta barwa, a żółty to kolor okropny, kolor szaleństwa. Tato zaczął krzyczeć, wody było tak niewiele, a much tak dużo, miejsca tak mało, a wspomnień tak wiele, bo chociaż tato nie był już młody, nikt, absolutnie, nie jest tak stary, by kiedyś nie poczuć się dużo młodziej, by kiedyś nie usłyszeć echa, echa z daleka. Tato był w swojej ojczyźnie, a mama na obczyźnie. Ojciec zaczął krzyczeć i ten krzyk nie miał już końca. Krzyczał, a obok jego krzyku słyszałyśmy inne głosy, ale gdy chodziliśmy na cmentarz, tam był tylko piasek i kaktusy, zmarli leżeli pod piachem, nieoznaczeni żadnym kamieniem, wokoło żadnej wiewiórki.

Oglądaliśmy w telewizji olimpiadę, mama nie miała siły wstać z łóżka, tak bardzo była już wtedy chora, jeszcze nie rak, tylko to, co zażółciło oczy.

Ojciec krzyczał na dozorcę. Chociaż mieszkaliśmy na czwartym piętrze, a dozorca w garażu, razem z rodziną, z dziećmi, co miały wszy we włosach i muchy w oczach, i z którymi nie wolno nam się było bawić, to słyszałyśmy, że tato idzie do domu. Krzyczał na swoją siostrę, która nie otwierała drzwi, na siostrę, która mieszkała za siedmioma zamkami i koszule nocne zużywała na strzępy i nigdy sama nie wychodziła z domu, i która miała na nodze niegojącą się ranę, ona zawijała nowe ubrania w gazety i nigdy ich nie nosiła, ojciec krzyczał na nią z za

zamkniętych drzwi, a z innych mieszkań nie dochodził żaden dźwięk, wszyscy nasłuchiwali, a ja i siostra czekałyśmy, aż on skończy. Krzyczał na ludzi, którzy łamali przepisy drogowe. Raz zatrzymał wojskową ciężarówkę, rozkazał kierowcy wysiąść i uderzył go w twarz. Krzyczał na mnie, krzyczał na mnie i na siostrę. Mój ojciec krzyczał także na moją matkę.

Mama mówiła do niego: nie krzycz na mnie, jestem chora. Dawniej byłeś inny. Sok z cytryny i tak dalej. Mama daleko, daleko od domu, gdzie brzozy, jeziora i muzyka, którą się rozumie. Moje dzieci w dziwnych ubraniach, myślała mama, leżąc w ciemnościach, uczą się dziwnych rzeczy w dziwnym języku i mają dziwne gesty, to już nie moje gesty. Dziwna, żółta gorączka, w gorączce nawet podczas upału jest zimno; moje dzieci, zabiorę je stąd jak tylko wyzdrowieję, zabiorę je stąd i nigdy nie wrócę. To moje dzieci, nie krzycz na nie, nie złość się na nie. Mama przez rok leżała w ciemnym pokoju, przez cały długi rok, z dziwnymi żółtymi oczami, nie powinniśmy się przeprowadzać do Egiptu, nie powinniśmy się przeprowadzać do Egiptu, upiory, upiory i odgłosy z daleka; mama bała się śmierci. Ojciec zaczął chodzić przygarbiony, zmarszczki, nowe zmarszczki na czole taty i mamy, a ja już się nie bawiłam.

Zdarzały się dni, kiedy tato kupował świeże, winne liście. Siadywał w piżamie na stołku pośrodku kuchni i robił z nich gołąbki; trwało to wiele godzin. Rozłupując arbuza, modlił się, żeby miąższ w środku okazał się ciemnoczerwony i żeby pestki były czarne, aż granatowe. Jednocześnie podczas krojenia pytał nas – czyja buzia?, a my wołałyśmy: moja! moja!, i on wybierał jedną z nas, sprawiedliwie, pamiętał, którą wybrał ostatnim razem, mój tato wiedział, co ważne, kupował nam w prezencie kolorowe naklejki, a jeśli arbuza był w środku ciemnoczerwony, a jego pestki czarne, prawie granatowe, zwracał się do jednej z nas: patrz, jaką masz ładną buzię. Czasami, gdy wracaliśmy samochodem ze szkoły do domu, wokół kurz i gorąco, kupowaliśmy coca colę na ulicy, handlarz wyjmował butelki z cebra wypełnionego pokruszonym lodem. Tato wycierał chusteczką otwory butelek i gdy wypiliśmy wszystko, mówił: na zdrowie i na radość, i jechaliśmy dalej. A kiedy siostra wsypywała osiem łyżeczek cukru do herbaty, tato szczypał ją delikatnie w policzek, mówiąc: ta dziewczynka sobie poradzi. A ja i mama mieszałyśmy swoją czarną kawę.

Utyłaś, powiedział Hindus. Wcale nie. To był komplement, wyglądasz znowu jak dawniej. Hindus, mój brat i nikt inny, nikt. Hindus, który płacze jednym okiem, jak ja jestem do połowy tutaj i od połowy gdzie indziej. Po co rozprawiać o aniołach, kiedy istnieją ludzie i słodkie napoje? Jest sierpień i już nie jestem sama.

## 12.

Namalowane na kartce pocztowej bladuróżowe różyczki na białym tle; mogę dostrzec każdą ich kreskę i odcień, mogę na nie patrzeć i obracać kartką w świetle, mogę na brzegu kartki zapisać numer telefonu albo godzinę, mogę na niej postawić kieliszek wina, żeby stół się nie pobrudził. Ale czasem ryba złapana przez rybaka jeszcze po latach rzuca się na końcu żyłki, mimo że fotografia już pożółkła, tak się rzuca, aż się boję, że wpadnie do wody. Czasem wyglądam tak samo jak przed laty, a Hindus to zauważa i znienacka mi o tym mówi; w takim momencie czuję się jakbym właśnie rozpakowała prezent gwiazdkowy; w tej samej chwili on kładzie na stole gazetę i pęk kluczy i opowiadamy sobie, co robiliśmy tego dnia, nic wyjątkowego, naprawdę nic. Hindus, mój przyjaciel Hindus, który był w miejscu, gdzie się urodziłam i wtedy, kiedy się urodziłam. Słyszę jego kroki na schodach, nie zawsze jest sam, i to mi wcale nie przeszkadza. On mówi do mnie: nie bój się, i już się nie boję.

Czasami, gdy wracam na rauszu późno do domu i zupełnie sama, gdy na dworze jest zimno i deszczowo, nie mam jeszcze ochoty iść spać. Wtedy mogę się położyć na zimnej podłodze i rozmyślać o minionym dniu, o gazecie, pęku kluczy, zapachu, który utrzymał się na klatce schodowej tylko chwilę, ale wystarczająco długo. I wtedy nie jestem już niczym dzieckiem, ale to wcale nie jest smutne ani nie straszne, tylko naprawdę dobre. Wtedy te ich gwiazdy już nic dla mnie nie znaczą, prawie o nich nie pamiętam, nie wracajcie już, zostawcie mnie w spokoju.

Pomarańcze można obierać na dwa sposoby, ale żeby zjeść arbuza, trzeba go rozłupać: a w zimie, gdy niebo było niepokojąco wysoko, gdy w mieście wiatr się nasilał, zimą cicho krzyczałam: zwiążcie mi ręce i oczy!, przywiążcie do łóżka i zostawcie mnie!, chociaż na chwilę; ale wiedziałam, że i to nie pomoże, bo choć bym zasnęła, mogłabym śnić, i nie ma kraju, który by leżał tak daleko, żeby tam wszystko było inaczej, ani przyjaciół, którzy by czasem powiedzieli: nie mam siły się spotkać, jestem zmęczony. Pierwszego dnia wiosny zauważyłam, jak płaszcz wyświechtał się przez zimę, a słońce, które stało się obce, świeciło za mocno i w dziwnych miejscach; wtedy trzeba było przemyśleć sprawę od nowa. Czasem, gdy zbije się talerz, mogę kupić nowe, takie, których nie odziedziczyłam, które nie miały jeszcze pęknięć, ale to tylko materia i pomaga jedynie przez chwilę; nocą zadzwonił daleki kuzyn z nieznanego numeru; poczułam, jak głowa mi powoli opada, chociaż lato się jeszcze nie zaczęło; coś takiego nie może się oczywiście zdarzyć, ale ryba może się trzepotać na żyłce jak przed laty, a na ścianie mogę powiesić swoje zdjęcia, tylko moje i przyjaciół, do których zadzwonię nazajutrz, są chwile, kiedy trzeba mieć odwagę być egoistą i kiedy moje ręce są moimi rękoma, mój nos jest moim nosem i należy cicho krzyczeć: nie jestem już niczym

dziekiem.

### 13.

Moja matka miała duże, jasnoniebieskie oczy. Patrząc w nie, ojciec nie rozumiał, że w zimie w Finlandii słońce świeci z niskiego pułapu i ogrzewa bardzo rzadko. I że jeziora są mętne, na ich dnie leży brązowy i zielony muł, i że morze jest prawie słodkie, a w sitowiu czatują spalone szczupaki. I że jeziora są zazwyczaj skute lodem i nawet najbielszy piasek nie może być tak biały jak śnieg, i że to najbardziej przerażający kolor, kolor śmierci, i że woda jest zimna także w lecie. I że z sauny idzie się popływać, śliskie pomosty i spróchniałe schodki, spróchniałe, pokryte pleśnią poręcze, rdza, mętna zielonkawa woda, w której nie można brodzić, tylko trzeba się w niej całkiem zanurzyć. Nie istnieje kraj, w którym nie byłoby czegoś wprowadzającego w błąd, ale w Finlandii zima jest tak daleko od lata, że bardzo łatwo się pomylić. Tato nie rozumiał, że w Finlandii ludzie śmieją się po cichu i po fińsku z dziwnych rzeczy, a dzieci się nie uśmiechają, jeśli nie mają na to ochoty, tak samo dorośli, i że na północy mieszka tak niewielu ludzi, że umierają w samotności, bo człowiek nie może żyć bez drugiego, a warzywa myją już w sklepach i pakują do plastikowych torebek, a arbuz jest blady jak chora córka i prawie nie ma pestek. Tato nie rozumiał, że nawet księżyc wisi w innym położeniu i że wszystkie ulice są zaznaczone na mapie, i że w domach towarowych nie można się targować. Ptaki wędrowne odlatują na zimę z północy na południe, a gdy dotrą do celu, łapie się je w duże siatki i nadziewa cebulą. Oczy mojej mamy stały się szare, aż skurczyła się zupełnie.

Moja matka nie patrzyła na mojego ojca, gdy wchodził wtedy do przedziału. Odwróciła ku niemu spojrzenie i zobaczyła siebie jego oczami. Postawiła siebie jako obiekt spojrzenia taty. Kiedyś też tak zrobiłam, patrząc, jak moja ręka miesza czarną kawę i na swoje palce, w jaki sposób trzymają papierosa, na ślad szminki na filtrze; jest jednak zupełnie jasne, że jak Hindus spuszcza oczy, te jego rzęsy i uśmiech trzymający się warg po wybuchu śmiechu, niczym bezgłośnie echo, wtedy jest zupełnie wszystko jedno, jak porusza się moja ręka, moje palce, wszystko jedno. Oczy taty były piwne, ale blakły zawsze, gdy się rozgniewał, i robiły się wylupiate, jego czerwone wargi, z których tryskała ślina i zmarszczki w tych samych miejscach, co u mnie, a w innych niż u mamy; czasem myślę, że ja i ojciec jesteśmy tym samym.

Bo ja otwieram oczy szeroko i sama patrzę, a gdy patrzę, widać to po mnie, wiem. Hindus krzyczy: jesteśmy jak wirusy, czemu chce nam się żyć, rozmnażamy się i umieramy, jesteśmy jedynie wirusami; ale ja nie słyszę jego słów, tylko obserwuję jego brwi, jak się zbliżają do siebie i są całkiem połączone, a gdy on uderza pięścią w mój stół, patrzę i czuję, jak mi serce puchnie. Ale gdy spojrzę

znowu, przedmioty odzyskują normalną wielkość. Wezmę i poszukam swojego imienia w książce, żebym umiała opowiedzieć, co ono oznacza. Sama poszukam.

## 14.

Kiedy mój ojciec zobaczył moją matkę po raz pierwszy, pomyślał: to nie kobieta, to anioł. I mama zobaczyła siebie oczami taty, które właśnie w tym momencie były brązowe jak ziemia, tyle możliwości, by rosnąć i rozwijać się. Mama tylko raz przedtem czuła się piękniejsza, od tego minęło wiele lat, było lato, szła skrajem placu targowego i samochód z rejestracją dyplomatyczną przyhamował koło niej, Arab popatrzył na nią przez chwilę przez otwarte okno. Anioły nic nie jedzą, bo ich ciała są z powietrza i wyobraźni, nie mają żadnych komórek, które zabijają inne komórki, anioły nie chorują, a ich włosy nie ciemnieją w połogu, bo one nie rodzą ani nie krzyczą z bólu, krew i rozdarta tkanka ciała; mama uważała, że mężczyźni nie powinni być obecni przy porodzie i nie pojmowała, dlaczego mieliby się tam pojawiać; długo uważałam tak samo, to jasne, ale już nie. I mama mawiała: gdyby nie trzeba było wcale jeść, gdyby wystarczyła tabletką, która zdusi głód i utrzyma przy życiu. Ale gdy do Finlandii przyjechał tato, jego walizka była wypełniona jedzeniem, owoce popakował w plastikowe torebki, każdą zawiązał. Czasami, kiedy już wszyscy skończyli jeść, zostawałam przy stole, by spróbować arbuza, zjadałam plasterki za plasterkiem, a tato głaskał mnie po głowie i w pełni akceptował. Ropa jest tłusta i gorąca, tryska z ziemi jak lawa, a jej odór zostaje długo w nozdrzach, tak samo może być z perfumami, gdy jest ich za dużo, a jak się ktoś mocno uperfumuje, wydaje się czasem czarujący i to coś o nim świadczy, także i fakt, że perfum jest za mało; flakoniki perfum mamy zdążyły pokryć się kurzem, ich zapach osłabł i ulotnił się; mam przyjaciela, który jest taki sam; jej oczy zaczęły się zrastać, ale tato dolewał do wody esencji różanej i kupował kwiaty bez okazji, tak to jest, że niebezpiecznie zakochać się w aniele, niebezpiecznie igrać z bogami i niebezpiecznie ich naśladować. Czasem jest trudno dźwigać samą siebie, chciałoby się zmniejszyć do rozmiarów słowa, do rozmiarów kęsa, żeby mężczyznom było łatwiej; niektórym z nich to wystarcza, ale tacy nie rzucają gazety i pęku kluczy na brzeg stołu ze słowami: gdzie się dzisiaj podziewasz, przeważnie jesteś tutaj cała. Ale czasem jest ciężko być tak wielką, pędy wyrastające jak popadnie, trudno być tak miękką i bez ograniczeń, całą powierzchnią ciała, miejscami, które trudno osłonić, bo i po co, a zapach perfum ciągnie się daleko za mną, aż staje się nieskończona; ja też chciałam być aniołem i pragnęłam przestać być człowiekiem, można powiedzieć, że chciałam wtedy umrzeć, ale zmieniłam się we wronę, latałam po deszczu za żółtymi oknami i modliłam się: wpuśćcie mnie i nakarmcie, powiedzcie mi wreszcie, co mi jest. A gdy mama została aniołem, wysuszyła z siebie człowieka, i nawet nie jestem już o to zła. Bóg jest w swoich decyzjach mądry i sprawiedliwy, czasem tylko tak niezwykle trudno zrozumieć jego wolę; on zabrał ciało mojej mamy, spalono je,



a ja spuściłam do ziemi białą urnę na cienkim sznurku, ale duszy mamy nie zabrał, a tego właśnie ona pragnęła, była z nami tamtego wieczora, krzyczałyśmy, śmiałyśmy się i piłyśmy, bo wreszcie wszystko się skończyło.

Tato wysysał szpik z kości, zjadał nawet mózg, i w ten sposób miał szansę na długie życie.

## 15.

Mój ojciec zamiast ropy wybrał wodę. Nam opowiadał, że to był wybór etyczny. W Egipcie mieszka kilkadziesiąt milionów ludzi, ich liczba rośnie, ale z powierzchni tego kraju jest w użyciu tylko kilka procent, a dzięki wodzie gruntowej można powiększyć tereny nadające się do zasiedlenia. Zaludnienie pustyni, podlewanie tego, co martwe i wyschnięte, to wspaniały cel, wtedy nie wypada myśleć, za co żyć. A jednak tato dodawał esencji różanej do wody pitnej i kupował kwiaty bez okazji, i zakochał się w aniele. Kiedy wybrał wodę zamiast ropy, wybrał nie tylko to, co właściwe. Wybrał to, co piękne. Bo mój ojciec był z tych, co wzięli się z ognia. Kiedy wchodzi do pokoju – wszystko zmienia się w światło, kiedy podchodzą zbyt blisko – wszystko staje się popiołem, a kiedy odchodzą – nic nie zostaje. Ojciec był z ognia, a mama z wody i dlatego na początku wszystko było takie piękne i wielkie; rozumiem, że ogień nie tęskni za większym gorącym u swego boku, ale za czymś orzeźwiającym, czymś zupełnie przeciwnym, ale z drugiej strony wiadomo, że w ogniu woda wyparuje, a w wodzie ogień zgaśnie; ja i siostra trzymamy się suchej ziemi. Szukamy zapachów i smaków, nadajemy im nazwy. Jadamy potrawy, które parzą w język, żeby go czuć, żeby czuć język. Dawno temu spróbowałyśmy zielonych liści w oliwie, potem szukałyśmy ich przez wiele lat, nie wiedząc, co to było. Aż pewnego razu, dużo później, jadłam je znowu. To była boćwina, i miałam poczucie, jakbym spotkała dawnego przyjaciela albo zaszyła dziurę lub odnalazła brakujący fragment. I pamiętam też inny smak, w domu naszych przyjaciół, jak byłyśmy jeszcze małe, i w indyjskich restauracjach, to okazało się świeżą kolendrą. Nauczyłyśmy się sprawdzać kuchenkę przed wyjściem, wiele razy, i okna, czy są dobrze zamknięte, ale mimo to ogarniał nas strach, że mogłyśmy o czymś zapomnieć, bo to przecież naturalne, bo budujemy wokół siebie dom i różne rzeczy mogą się zdarzyć, nawet złe, które zmieniają wszystko w popiół, a z niego nic już nie wyrośnie. A gdy zadzwoni dzwonek, chyba nie otworzę. Ja i siostra byłyśmy tym samym.

## 16.

Moja matka wyrzucała wszystkie stare rzeczy. Nie znosiła odziedziczonych i podniszczonych mebli, aż w końcu nie miała środków na nic innego. Marzyła o mieszkaniu, w którym byłyby tylko czerń i biel i dużo szkła, wiele okien i drzwi; a najbardziej nie cierpiała gorąca, braku wymiany powietrza, w szpitalu było jej zawsze za gorąco, nie wietrzono, ale trzymała w torebce starą książeczkę z psalmami, starą i pełną zapisków różnymi charakterami pisma; niektórych sprzeczności w żaden sposób nie da się rozwiązać i zmieniają się w smutek, a bywa i tak, że dysonans, którego nie można rozładować, zostaje, by drażnić; wielu kompozytorów to wie i nie komponuje szczęśliwego finału, gdyż szczęśliwe zakończenie właściwie nie istnieje, bo jak coś się kończy, to się za tym zaczyna tęsknić, a w tęsknocie tkwi zawsze smutek. Mama nie znosiła woni jedzenia, i tego, że przesiąkają nią zasłony, więc w czarno-białym mieszkaniu nie byłoby w ogóle zasłon, ani przewodów elektrycznych, ani dywanów, ani drewnianych zwierzątek na pianinie, by zbierały kurz i wspomnienia. Mama unikała wokół siebie zbytecznych rzeczy, do których mogłoby coś przywrzeć. Obcięła mi włosy całkiem na krótko, bo wiedziała, że do włosów może się przyczepić więcej niż do czego innego, pragnęła widzieć moją odsłoniętą szyję i głowę. Nie naprawiała dziur ani rozdarć, wszystko, co stare – wyrzucała. Nasz salon w Kairze miał kolor cytrynowy, meble były tak lekkie, że mogliśmy je przestawiać i się pod nie chować. Co jakiś czas mama wszystko prała, a potem wywieszała na słońcu do wyschnięcia, i stół też był ze szkła, które należało codziennie wycierać do glansu, bo kiedy tato był jeszcze dzieckiem, na podwórku naszego domu leżał tylko piach, a pustynia i teraz mieściła się tak blisko, że piasek w jednej chwili zasypywał wszystko; na balkonie liście roślin szarzały i uginały się, jeśli zapomnieliśmy je obmyć. Mama nie życzyła sobie, by w domu znalazło się coś powyginanego i połyskującego, coś pozłoconego i podrobionego, nasz dom wyglądał jak ona, w oknach wisiały jedynie cienkie, białe firanki i ściany pomalowano na białe, a biel to najbardziej przerażający kolor, kolor śmierci. Biały, ani słów, ani śmiechu, ani nawet płaczu; biały, chłodny i wyniosły, nasze ściany były nieskazitelnie białe niczym dziecko, na którego skórze życie nic jeszcze nie wyrysowało, były białe jak wymagający Bóg, który nie uśmiecha się do siebie, nasze ściany białe jak śmierć.

W domu dzieciństwa mojego ojca okna zakrywały ciężkie jedwabne story o turkusowej barwie, w złote wzory i z frędzlami, wiele frędzelków w nieoczekiwanych miejscach, a szafa była wykonana z ciemnego drewna, w którym intarsjowano szczęśliwą historię o księciu i księżniczce; wanna stojąca na lwich łapach, kręte schody z poręczami, a siostra mojego ojca mieszkała tam za siedmioma zamkami i nie chciała nas nawet wpuszczać.

Mama urządziła nasz dom na swoje podobieństwo, ale kiedy zachorowała, przysunęliśmy telewizor do jej łóżka i oglądaliśmy olimpiadę, jej książki pokryły się kurzem, który porysował też jej płyty, cytrynowy salon pociemniał jak jej włosy, a rzeczy taty leżały w stosach po kątach. Nasz dom nie był już podobny do mamy, nasz dom nigdy nie był podobny do taty. Nasz dom nie był podobny do nikogo. W moim domku dla lalek wszystkie mebelki i lalki stały na swoich miejscach, siostra nie miała prawa ich nigdy dotykać. Nasz szczeniak zachorował i zdechł. Nasze ptaszki zachorowały i zdechły. Kiedy słońce zachodziło, wezwanie na modlitwę, noc blisko, straszna, najstraszniejsza ze wszystkich. Koniec blisko, biały ptak śmierci łopoczący skrzydłami.

Ale na początku, na samym początku, kiedy mój ojciec ujrzał moją matkę, uwierzył, że wkrótce wszystko się zmieni, stare stanie się nowym, ciężkie lekkim i już nigdy nie przydarzy się nic bolesnego, i może zacznie padać deszcz, który zwilży jego rozpaloną twarz i zasłoni słońce.

**17.**

Mój ojciec i moja matka pisywali do siebie długie listy w języku, który nie był dla żadnego z nich ojczysty. Posyłali sobie zdjęcia. Nagrywali dla siebie taśmy magnetofonowe. A potem pobrali się. Wzięli ślub w Finlandii, a tato poprzedniego wieczora wypił za dużo, ich zdjęcie ślubne, na nim nie ma nic udawanego, ono promieniuje blaskiem, iskrzy się. Potem polecili do Indii, leżały wystarczająco daleko, to był mądry wybór, bo ani to, ani tamto, tam nikt nie jadłby pomarańczy, kiedy istniało tak wiele innych rzeczy, Indie jak Hindus, to było coś innego, więc obserwowali gwiazdy z najbardziej na południe wysuniętego cypla, a tato napisał ich imiona na piasku. A gdy ja się urodziłam, na świecie znikły cienie, słońce jak wycięte z żółtego papieru i przyklejone do niebieskiej tektury, a trawa bardziej zielona niż życie. Święte krowy odgryzały czerwone kwiaty hibiskusa ponad ogrodzeniem, a jeśli na drzewach kryły się węże, nie spadały, by nam nie przeszkadzać. Kiedy tato wracał wieczorami do domu, brał mnie na ręce i wynosił na dwór, i stali tam pod obcymi gwiazdami razem ze mną. Czas biegł inaczej niż dawniej, pod sufitem szumiał wentylator, a jaszczurka znikła w ściennej szczelinie, zmieniając w gniewie swą barwę na czarną; wszystko wydawało się tymczasowe i oni o tym wiedzieli: nie zostaniemy tu, i chociaż byłam mała, jadłam mango, jego smak do dzisiaj mnie nie opuścił, miałam karnację ciemniejszą niż mama i jaśniejszą niż tata; panował taki upał, że musieliśmy się przebierać wiele razy dziennie, było parno, morze leżało całkiem blisko, przyciemnione popołudnia, kiedy ja spałam, a wentylator kręcił się z szumem, bo słońce zostawało za żaluzjami, wtedy było sporo czasu i miejsca, a mało przedmiotów i żadnych wspomnień. Czasami czekam na dźwięki, trzask drzwi samochodu, klucz w zamku,

kroki na schodach, dzwonek, on dzwoni do drzwi; tak samo czekała mama, a każda chwila była jak aksamit, nie istniało większe szczęście niż to, że jest ktoś, na kogo można czekać. W pokoju dwa krzesła, a na stole popielniczka, ciemność, podczas deszczu prąd często wysiadał, a na ścianach wielkie cienie i odgłosy, z których po chwili dało się odróżnić słowa, a ze słów ich znaczenie, ale jeszcze nie tak prędko.

Matka mamy daleko od domu, nikogo, kto mógłby doradzić, pokierować, nikogo innego, ogrodzenie wokół domu, obce gwiazdy na niebie, długie listy, nieaktualne wiadomości, zasady i wiara, obce smaki i obcy ludzie, moja mama przerażona, moje dziecko zachorowało, ono umiera, i co teraz, a lekarz mówi dziwnym językiem, nie można z jego słów nic zrozumieć, i obca gorączka, moje śniade dziecko, jego czoło jest rozpalone, obca choroba, brudne ręce, myjcie ręce!, nie dotykajcie!, nie wiadomo, do czego gorączka doprowadzi, może nawet do śmierci, nigdy nie wiadomo, dokąd prowadzi droga, ona i mnie tutaj przywiodła, daleko od domu, dlaczego tu przybyłam, dlaczego wyjechałam, obce ptaki na niebie, czasami słońce w chmurach, ale i tak światła jest za dużo, skąd się ono właściwie bierze, skąd. Mama przewraca się, próbując wstać z łóżka, nie daje rady, krzyczy, ale nikt się nie zjawia, i myśli: jak już nie dam rady, jak mnie ugryzie jakieś nieznanne zwierzę, co się stanie z moim dzieckiem, matka tak daleko, daleko. Ale moja mama potrafiła mimo wszystko błyszczyć niczym latarnia morska, i tak tato znalazł drogę do domu, nie trzeba było szukać jej według gwiazd, i razem przyjemnie wpatrywać się w gwiazdy, to jak obraz, którego nie trzeba rozumieć; a my rośniemy razem, ja i ty, nasza skóra łączy się w jedną, bije w nas jedno serce, a jeśli to się kiedyś skończy – umrzemy.

## 18.

Niektórzy wzięli się z wody. Nawet z gwiazd można to wyczytać. Tacy nic o sobie nie opowiadają. Żyją kosztem innych ludzi, przywierają do nich i nie chcą się odzepić. Zmieniają się jak kameleony i starają się być tacy, jak się od nich oczekuje. Kryją się za włosami; tak się przecież zdarza, że w wodzie kontury robią się niewyraźne, a głosy dobiegają z oddali. Kobiety, które biorą się z wody, nigdy się nie angażują całkowicie, ani tu, chociaż może tam. Mama nic o sobie nie opowiadała. Słuchała raczej, z głową przechyloną, nikt już nie będzie słuchał w taki sposób, żadna sprawa nic nie znaczyła, póki jej o tym nie opowiedziałam, a teraz wszystko musi stać się czymś, zanim będę mogła o tym opowiedzieć komuś innemu, albo nie da się tego opowiedzieć wcale. Czasem przebywając w słońcu, chciałabym mówić, opowiedzieć o różnych sprawach, ale one nie istnieją, a słońce miesza umysł i przypieka, piecze. Żyję tylko dla was, oświadczyła mama, a ja słysząc to, zrzuciłam z biurka książki i papiery, i zaczęłam krzyczeć, aż mnie gardło rozboleło: przestań wreszcie!, nigdy więcej tak nie mów!, przestań! W tamtym momencie zrozumiałam, że mama nie miała już własnego życia, że kiedy ja chodzę, ona się męczy, kiedy ja płaczę, ją bolą oczy, kiedy ja jem, ona już nie musi. Jakże inaczej mogłam zareagować, jak tylko zrzucić wszystko na podłogę i drzeć to, szarpać, aż w końcu zasnąć, bo przecież nie mogłam życzyć mamie śmierci.

W końcu moja matka już nie wierzyła, że mój ojciec wróci, nawet tego nie chciała, co jest trudne, gdy się kocha. Klucze i drzwi do samochodu dla innych, nie dla mnie. Nie pamiętała o jedzeniu, przypominała sobie o tym dopiero wieczorem; wtedy zazwyczaj krajała wielkie pajdy suchego chleba, smarowała je grubo masłem, odrywała nożem duże kawałki sera i zjadała chleb sporymi kęsami, żeby szybciej się skończył, jednocześnie oglądała telewizję, a gdy zmieniałam kanał, nawet tego nie zauważała. Jej oczy nie były już niebieskie, ale zawsze patrzyła prosto na mnie, a nawet na wskroś mnie, wyciągała szczupłą rękę i dotykała mojego czoła, które było zmarszczone, i głaskała mnie po skroni, a ja patrzyłam na jej chude palce i białą, suchą skórę i myślałam sobie: ta osoba to nie ja, a ja nie jestem tą osobą, chociaż ta osoba to ja i ja to ta osoba; czasem miałam nadzieję, że nie trzeba myśleć o niczym, mówili, że to z jogi, ale ja nie uprawiałam jogi, siedziałam na podłodze i czekałam, aż to się wreszcie skończy, tak jak kończy się wszystko inne. Moja skóra nie jest biała, nie połyskuje w słońcu, ma barwę zielonkawą niczym oliwka albo morze, jestem tutaj, w całym swoim jestestwie i zawsze do końca; kiedy sok z owocu mango sączy się w dół, po moim przedramieniu, wiem, w jakim kierunku powinnam podążać i do czego powinnam się odwrócić tyłem. Odwrócę się do was obojga już niedługo, obiecuję.

W Egipcie jest gorąco nawet zimą, w lecie jest taki upał, że nie da rady go nawet zapamiętać; a raz było goręcej niż zwykle. Tato odebrał nas ze szkoły i nie byliśmy w stanie odezwać się do siebie nawet słowem. Z otwartych okien wpadał do samochodu brudny, zakurzony żar, ale to niewiele pomagało. Kołnierzyki i mankiety białych bluzek przy naszych szkolnych mundurkach zrobiły się brązowe, chociaż rano były czyste. Wtedy tato kupił nam colę na ulicy i wytarł butelki do sucha, a my piłyśmy, jadąc dalej. Kiedy dotarliśmy do domu, brudne dzieci dozorca, wszy we włosach, muchy w oczach, zaniósł nasze zakupy na górę do naszego mieszkania, owoce, wodę i lody, u nas zawsze były owoce, woda i lody, ciastka i czekolada, kwiaty w wazonach, palone nasiona dyni i słonecznika, i jeszcze turecka kawa. Mama czekała już w drzwiach, na jej czole trzy bruzdy niepokoju, moje dzieci, jak one znoszą ten upał, i prowadziła nas do chłodnej kąpieli. Tego popołudnia miasto trwało w ciszy, słoneczne miasto zamilkło od gorąca.

Ojciec usadowił się na niskim stołku i zaczął wyciskać sok z mango dla mamy, bo widział, jaka jest czerwona od upału, nie miała nawet siły się uśmiechać. Tato skupiony, tato dokładny, robił wszystko dokładnie, przygryzał dolną wargę, szybko, szybko, Anu się dusi, szybko. I tak się spieszył, za bardzo się spieszył, że sok z mango wylał na podłogę. Mieliśmy ciemnozieloną wykładzinę, jak trawnik na wiosnę, razem z siostrą czołgałyśmy się po nim niczym bananowe węże, nie wolno było pomagać sobie rękami. Pomarańczowy i zielony. Mama podniosła się z fotela, przyniosła ścierkę i wiadro, westchnęła, co tato na pewno usłyszał, po chwili zostało tylko złe wspomnienie, też zasnuł upałem. Tato siedział zasłonięty gazetą, a mama wyszła na balkon i patrzyła w dal ponad minaretami meczetów, daleko, daleko od nas, a ja się modliłam, żebyśmy znaleźli się tam, dokąd próbowały sięgnąć jej oczy. Ale gdy spojrzysz się na to z drugiej strony, im słońce silniej grzało, tym jaśniejsze stawały się moje włosy i tym mniej należałam do Egiptu, a im słabiej słońce świeciło, tym bardziej włosy mi ciemniały i tym mniej należałam do Finlandii; moje zielone oczy wypełnione są do reszty stojącą wodą.

Są tacy, co wzięli się z ognia. Pałają siebie albo innych. W ich pobliżu nigdy nie jest zimno, ale gdy pałają gniewem, zostają blizny i popiół. Gniew mojego ojca, odziedziczyłam go i długo bałam się samej siebie. Ale Hindus i jego mieszkanie jest tuż tuż, do mojego domu przenika jego ciepło i nigdy już nie będę marzła. Mówię do niego: masz w sobie więcej gniewu niż mój ojciec, odnajduję w tobie siebie. Ale ponieważ się ciebie nie boję, siebie się też nie boję, ani swojego ojca już nie. Wyobrażam sobie, że gdzieś ponad chmurami my, przepelnieni gniewem, możemy żyć, skakać sobie do oczu, potem odsunąć się nieco, by następnym razem uderzyć jeszcze mocniej; tam jest chłodno i chmury ciężkie od wilgoci, dzięki temu uderzenie nie jest wcale niebezpieczne, a my tańczymy własny taniec, dalej od zgorzonych spojrzeń, dalej od spojrzeń tych, co są opanowani i cierpliwi, jesteśmy

tam, gdzie nie można nikogo spalić i gdzie można się śmiać i krzyczeć do woli, czerwień i czerń, a nawet złoto, to nasza natura; tam, w górze, nie musimy poruszać się bez pomocy rąk, tam mamy nawet tysiąc par rąk i nóg, i wcale się nie męczymy; jak możemy zmęczyć się tym, że od początku do końca jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Hindus miał brwi jak turecki sułtan, a ja się wcale nie boję, czasem tylko nienawidzę, nienawidzę tej niebieskiej tęsknoty.



## 19.

Mój ojciec patrzył w błękitne oczy mojej matki i zobaczył kraj ze swoich marzeń. Starczyłoby w nim miejsca dla wszystkich, nikogo czepiającego się rękawa i nękającego: to twój kraj, twój czas, twoje miejsce, twoja odpowiedzialność, twój obowiązek, twój ród, twój wybór, twoja przeszłość, twoja przyszłość, i pamiętaj mój synu o tym, że Egiptu nigdy nie można opuścić, twoja praca i twój grzech; a ja jestem tylko małym, biednym dzieckiem, daj pieniądze, o łaskawy Boże, ani matki, ani ojca, wszy we włosach, muchy w oczach i bosa, zmęczone nogi i żadnej przed nimi przyszłości. Mój ojciec zobaczył czysty kraj, tak niewiele zapachów, że jeden można bez trudu odróżnić od drugiego i w razie potrzeby usunąć. Ojciec był zmęczony, słońce go zmęczyło, bo długo wędrował i wpatrywał się w spaloną pustynię, jego ramiona pokryte bliznami wypalonymi przez słońce, a jego kąciki oczu od mrużenia pomarszczone. Tak długo szukał wody w piasku. Na zakurzonych korytarzach uniwersytetu słońce odsłaniało wszystkie ślady zużycia i zniszczenia, a na zewnątrz tyle się działo, czego tak całkiem nie rozumiał, co go wcale nie interesowało, martwiło go natomiast to, że nikt już nie zbierał rosnących w ogrodzie pomarańczy, że liście drzew poszarzały i powiędły od ciężaru kurzu i piasku, bo nikt ich już nie obmywał, że z każdym rokiem ludzi przybywało, a miejsca było mniej, brudu więcej, a wody mniej, gadania więcej, a czynów mniej. Ojciec chodził po korytarzach i miał zwyczaj pozdrawiać skinieniem głowy każdego mijanego człowieka; czasem wydawało mu się, że ziemia pod jego stopami nie jest całkiem stabilna, wtedy opierał się o parapet okienny, a na jego ręce zostawała plama z brudu, który tam się zgromadził, a i słońce świeciło w okolicach okna najmocniej. Gdy tato ujrzał błękitne oczy mamy, wiedział już, że mógłby spokojnie stać, pozwalając, by czysta woda zalała go i obmyła z brudu.

Czasami zmęczeni słońcem odlatywali na północ. Tutaj nie musieli przemierzać zatłoczonych ulic, odpychając innych na boki. Nie musieli stąpać ponad leżącymi ciałami i wstrzymywać oddechu. Ani widzieć za oknem szczurów i żebraków. Tu mogli odpocząć, jeśli tylko trzymali się swojego miejsca i chodzili cicho po schodach oraz zamykali po drzwiach zewnętrznych mieszkania także drzwi wewnętrzne; jeśli tylko nic nie mówili, przynajmniej nie za głośno. Więc zazwyczaj dość prędko odlatywali, żeby już nigdy nie wrócić.

Kiedy mój ojciec zobaczył po raz pierwszy moją matkę, w przedziale panował półmrok, było przestronnie i cicho. Mój ojciec, ogniste zwierzę i jego niebo.

## 20.

Kiedy mój ojciec przestał patrzeć na moją matkę, kiedy jego spojrzenie zbladło, kiedy nie było jej już dane rosnąć, by stać się największą, najpiękniejszą ze wszystkich, kiedy ich oczy przestały się już spotykać ponad naszymi głowami, kiedy zaczęliśmy wyrastać ze starych ubrań, ja i siostra, i byliśmy już prawie ich wzrostu, kiedy oczy ojca z piwnych stały się szare, kiedy oczy mamy z niebieskich stały się szare, kiedy prac ojca nikt już nie czytał, kiedy kupił mamie nie te papierosy – wtedy moja mama przestała żyć. Zauważyłam to o wiele lat za późno. Kiedyś, gdy spotkałyśmy się na skwerku w Kaisaniemi pod rzeźbą żrebaka, był pochmurny dzień i mama nadchodziła z przeciwnej niż ja strony, patrzyłam na nią, jak się zbliżała, ona jeszcze mnie nie zauważyła, spostrzegłam, jaka ona mała i jak zatarły się granice jej ciała, jakby w ogóle nie istniały, jakby jej już nie było. A kiedy mnie zobaczyła, najpierw popatrzyła, a potem dopiero zobaczyła, uniosła brwi i zwróciła ku mnie uśmiechniętą twarz, a w bruzdach jej czoła nie było już żadnej barwy; wtedy przestraszyłam się, ale nic nie powiedziałam. Mama nigdy nie narzekała, nie opowiadała nam o wieczorach i nocach, podczas których czekała i czekała, ani o porankach, kiedy poczta przynosiła rachunki, tylko rachunki, i nic więcej, nie wiedziałyśmy też o tym, że na początku, gdy zaciska się pięści, policzki czerwienieją, a kostki dłoni bieleją; ale po latach to tak już nie wygląda, bo krew przestaje być czerwona, a z dłoni znika siła. Nie wiedziałyśmy też o tym, że najpierw się krzyczy bezgłośnie do siebie, krzyczy i wierzy, że zaraz zaczną krzyczeć tak głośno, że on usłyszy tam daleko i wróci, jeśli mam siłę w to wierzyć, bo inaczej wszystko jest bez sensu. Nie wiedziałyśmy, że na początku były takie dni, kiedy z nocnego rozczarowania dzień czerpie siłę, kiedy w ciągu dnia wyrasta z niego coś innego niż smutek. Ale po latach i to się kończy. Nie wiedziałyśmy, że znosiła wszystko, nie mówiąc nam o tym ani słowa, nie wiedziałyśmy, że kiedy człowiek nie wspomina, nie potrafi zapanować nad przeszłością, która nie nabierze kształtu, nie można jej zwinąć w kłębek i spalić w kominku z niedopałkami papierosów. Kiedy mama nie wspominała, to nie określała przeszłości słowami, nie pakowała jej w małą paczkę, by ofiarować nam w prezencie, chrypiąc coś przy tym starczym głosem. Mama nie opisywała przeszłości słowami, bo to wszystko było za duże, by pojąć, za głośne, by usłyszeć. Dziewczynka z długimi warkoczykami stała tam na łasce świata, narażona na niebezpieczeństwa, ubrana w znoszoną sukienkę, przez którą wszystko prześwitywało. Mama nie bawiła się światem jak balonem, pewnie nigdy się nie bawiła, nie naklejała żółtych karteczek na rzeczywistość, ja tak robię, i czasem muszę je zrywać i przyklejać nowe na ich miejsce; wtedy przez chwilę zdaję sobie sprawę, że bluźniłam, byłam bezczelna, wyniosła. Ale ona nigdy nie była wyniosła, bo szanowała świat.

Patrzyłam na brzydkie pielęgniarki, ich grube łydki, odpychające spojrzenia, i zdawałam sobie sprawę, że one nic nie widzą. Kiedy poprawiały mamie poduszkę, chciałam krzyknąć: czy wiecie, kogo dotykacie?, na kogo patrzycie? Przynosiły jej kleik, mojej mamie, i widziałam, jak ona cierpiała od jego woni, jak ona cierpiała, że na plastikowej tacy podawały kisiel albo twarożek, Boże uchochuj, kisiel i twarożek mojej pięknej mamie. Na sąsiednim łóżku leżała staruszka i do samego końca siedział przy niej starszy człowiek, który jakiś czas później oznajmił cicho na korytarzu: moja żona umarła pięć minut temu. Zazdrościłam wtedy tej kobiecie, chociaż już nie żyła, zwłaszcza teraz, kiedy i mama umarła. Ostatni obrazek to paznokcie u nóg mamy, wystające spod prześcieradła, polakierowane na czerwono. I nikogo innego, kto by na to patrzył.

Kiedy na świecie zostały tylko dwa kraje, kiedy tato nie pragnął już uwolnić się od swoich przywidzeń, kiedy mama tęskniła do domu do swoich przywidzeń, zaczęli odwracać spojrzenia w przeciwne strony, nie próbowali szukać trzeciego domu gdzie indziej. Bo chociaż w Libii pokazywano w telewizji publicznej egzekucje, na naszej furtce wisiał błękitny szyld ONZ i my pochodziliśmy z innych krajów, nie byliśmy tymi ani tamtymi, kłamaliśmy, próbując być tylko tymi albo tamtymi, a kłamiąc, źle się wszyscy czuliśmy; i kiedy na świecie zostały tylko dwa kraje, bez trzeciego, tato przestał patrzeć na mamę. A gdy nie patrzył już na mamę, wszystko się skończyło, wszystko, właśnie tak.

## 21.

Anu, nie mówi się *dilli* tylko *tilli*, nie mówi się *krapu* tylko *rapu*, mówisz jak Szwedofinka, głupia Anu – mówiłyśmy, a ona też się z siebie śmiała. Byłyśmy w Finlandii tylko my trzy, bo tata został w Egipcie. Otwierałyśmy lufcik, gdy chciałyśmy przewietrzyć pokój. Na pianinie stało zdjęcie Mannerheima, to, na którym pozuje nad mapą. Przeważnie paliłyśmy papierosy przy kominku i dmuchałyśmy do niego dymem, czasem wszystkie trzy przygarbione, otwarty telewizor i deszczowa pogoda. A gdy tato przyjechał z Egiptu, spytałyśmy od razu, kiedy wyjeżdża; jak był, ja z siostrą musiałyśmy palić za domem. Kiedy tato przyjechał z Egiptu, w domu zrobiło się za ciasno, nie mieścił się tam razem z nami. Kiedy wychodziłyśmy rano do szkoły, mama machała nam z okna, póki nie skręciłyśmy za róg, czasami trzymała na rękach kota. Nasz kot był duży i rudy, wabił się Leo, przestraszony chował się za wannę. Przeważnie paliłyśmy papierosy przy kominku i wydmuchiwałyśmy do niego dym, ale kiedy indziej robiłyśmy to otwarcie, strącając popiół do popielniczki z napisem *Sorrento*. Czasami urządzałyśmy wieczory z występami, każdy coś przedstawiał, piłyśmy z przyjaciółmi za dużo, ale nikt się nigdy nie skarżył na hałas, bo sąsiedzi w tym domu od lat się nie zmieniali. Bywało, że przynosili nam karelskie pierogi albo śledzie dla kota, a my dawałyśmy listonoszowi pieniądze na święta, i gdy potem mieszkałam gdzie indziej, ja i blady młodzieniec, który znał się na gwiazdach i kometach, pukano w nasze ściany, gdy śmialiśmy się wieczorami po dziesiątej. Z tamtych dni pamiętam swoją białą twarz w oknie metra i zdechłego śledzia, który leżał na chodniku i nikt go przez całą zimę nie sprzątnął, wysychał, kurczył się, aż na wiosnę zniknął razem z piaskiem i plakatami wyborczymi. Co rano leżałam wiele godzin i nie byłam w stanie nawet płakać, a gdy poszłam do domu mamy, żałowałam, że w ogóle się stamtąd wyprowadziłam. Czasami paliłyśmy otwarcie i piłyśmy wino, a mama udawała pijanego weterana wojennego albo recytowała wiersze, a ja z siostrą śpiewałyśmy.

Mamę kochali wszyscy. Moi przyjaciele przychodzili, żeby spotkać właśnie ją. Kiedyś pianista, który mnie kochał i nie kochał; siedzieliśmy na moim łóżku, ja przepijałam piwo do plastikowego dinozaurusa, a ono wylewało się na białą narzutę; wtedy pianista zostawił mnie, by obudzić mamę, a ja zasnęłam, zanim on wyszedł. Mama, z lekko przechyloną na bok głową, słuchała wszystkich. Nasz telefon dzwonił o każdej porze, nie wiedziałam, że można go wyłączyć, dopóki nie poznałam ludzi, którzy dbali także o siebie. Mama szybko robiła, co miała do zrobienia, działała skutecznie, byle dalej od bezczynności, teraz człowiek przynajmniej nie musi tyle czasu marnować na gotowanie, coś smacznego da się przygotować także mniejszym wysiłkiem, jak się umie czytać, to i gotowanie się

udaje, moja mama, ona śmiała się jak fiński mężczyzna, moja mama, kocham ją ponad wszystko, kiedy następnym razem będę obierała pomarańczę, zrobię na niej cztery nacięcia, bo wtedy skórka łatwo i szybko odchodzi, i może będę czytała książkę przy jedzeniu.

Jesienią po deszczu po grobie mamy łąziły dżdżownice. Zabiłam ich tyle, ile dałam radę. Położyłam wrzosa i zapaliłam świeczkę. Na pomniku nagrobnym jej imię było jaśniejsze niż pozostałe i wstydziłam się, że moja matka już nie żyje.

Polecieli do Indii, na szyjach zawieszono im pachnące girlandy, a ich dom stał na brzegu morza. Mój ojciec i moja matka, ich sny i wspomnienia. Mama marzyła o starożytnych kulturach, po których zostały tylko ślady, a tata o wodzie pod pustynią, albo w oczach kobiety. Ona przypomniła sobie żołnierską piosenkę i od tej pory wszystko się zaczęło psuć. On przypomniwał sobie żołnierską piosenkę, a potem do Kairu rok za rokiem przybywało coraz więcej dziwnych ludzi, którzy brudzili ulice taty. Moja matka i mój ojciec żyli poza swoim czasem, nie żeby nie nadążali, ale tkwili jakoś tak z boku. W Indiach czas biegnie inaczej, bo czy można rozumieć czas, jak się nie zna języka, jak się żyje pod obcymi gwiazdami i widzi, że deszcz paruje, zanim spadnie na ziemię, jak się rozłupuje owoc i w środku czeka niespodzianka. Kiedyś w Aleksandrii mama się rozchorowała, a tato ją wyleczył. To ją przekonało, że znalazła odpowiedniego dla siebie mężczyznę. Raz stałam na brzegu, było zimno i Hindus zapiął mi płaszcz pod szyją; nagadał przy tym, że nie dbam o siebie. To był całkiem zwyczajny człowiek i to jest w tym wszystkim wspaniałe.

Oboje nienawidzili pełni księżyca, bo pamiętali, że w czasie pełni bombardowano. Czasem w naszym domu wyłączano prąd i księżyc świecił do wszystkich pokoi. Zdenerwowani wpadali na siebie w ciemnym przedpokoju – tato chwycił mamę za ramię i ścisnął. Wrony siedziały cicho i nie wiedziałam, w którą stronę mam patrzeć. Piliśmy herbatę z cynamonem i nawet mój cień robił się wielki. Rano podlewaliśmy słoneczniki, były wyższe ode mnie. Po kilku nocach księżyc już nie wydawał się tak duży.

Patrzę na Hindusa. Patrzę na niego wtedy, gdy tego nie widzi. I jak jaszczurka w Indiach, miała na imię Pekka, robi się czarny z gniewu. Kiedy wychodzi, jego kroki oddalają się, przymykam oczy i widzę tylko światło, jaskrawoczerwone światło, nic więcej, siedzę długo w miejscu, gdzie był przed chwilą i uśmiecham się. W takich chwilach czuję się zwierzęciem albo człowiekiem, zwierzęciem i człowiekiem, i nie ma we mnie nic boskiego, ani nie jestem aniołem. A jeśli on na mnie nie patrzy, nie szkodzi, przecież to wszystko jedno, jaka jestem i czy jestem. Mimo to ogarnia mnie szczęście, bo czuję krew płynącą w żyłach, widzę ją na własne oczy; i jeśli są we mnie guzy, na pewno właśnie się skurczyły i znikły.

Nigdy nie wyrzeknę się oczu i ich zdolności do patrzenia. A jeśli oślepnę, nauczę się odczuwać. Wysysam szpik z kości, a sos cieknie mi z kącików ust; czasem kupuję wątrobę i smażę ją, i nerki także, dzięki temu będę długo żyła. A gdy nienawidzę, to mówię to wprost, w takim momencie moje oczy pewnie ciskają iskry. Jesteśmy zwierzętami, ja i tato, jesteśmy tym samym.

## 23.

W Aleksandrii na nadbrzeżnej ulicy mieścił się lokal nocny, gdzie tato z mamą tańczyli, kiedy byli więksi niż inni i ich miłość też, kiedy gwiazdy świeciły tylko dla nich, kiedy noce podczas pełni księżyca jeszcze zachwyciły, kiedy mama była pod swoim urokiem, a tato pod urokiem mamy. On zdał sobie wtedy sprawę, że nie jest już w Egipcie, tylko w miejscu, które nie ma nazwy ani czasu. Ona zaś wiedziała, że nie musi już dłużej czekać, bo wszystko było wreszcie na swoim miejscu; poszli razem na taras, muzyka i tam dolatywała, nie było im za gorąco, ani za zimno; mama odrzuciła w tył głowę i śmiała się wesoło, a tato tylko się uśmiechał i bruzdy przy jego brwiach pogłębiły się; mama wpięła sobie we włosy czerwoną różę, którą tato ukradł z hotelowego ogrodu, a gdy wrócili do głównej sali, zamówili whisky i coś słonego, a kelner przyniósł im miseczkę pełną małych chrupiących kulek, które im zasmakowały, więc zapytali, co to jest, a kelner odpowiedział, że panierowane główki jaskółek, naturalnie.

Światło było zupełnie inne niż zwykle i nie istniało słowo, którym dałoby się to opisać; gdy się czasem powie: Kocham cię – dłonie mogą pozostać chłodne jak księżyc, a gdy innym razem powie się: Nienawidzę cię – z oczu mogą strzelić szczerolote skry. Okrutne słowa da się zapisać i można je powtarzać przyjacielom, można się nimi przerazić i mimo to wszystko zostaje po staremu, i nic się nie zepsuje, a jak powiem: nie wierzę w Boga, to wcale nie znaczy, że nie wierzę w Boga, tylko może to, że wierzę w Boga, sama tego oczywiście mogę nie wiedzieć; gdy Kocham, to miłość pokona nawet góry, nawet morza, ale nienawiść jest inna, ona wchodzi tylko we mnie i piecze, oj, piecze. Jeśli ogłoszę swoją nienawiść i obojętność, to moje wyznanie niczego nie zniszczy, bo my wiemy lepiej; gdy pocznę zapach na ciemnej klatce schodowej, on zmusi mnie, bym oparła się na chwilę o ścianę, zanim się wyprostuję i ruszę na dwór; a gdy Hindus raz wiosną płakał tylko jednym okiem, płakał na moim ramieniu, w moim domu, na moim ramieniu, z tego trudno się wyleczyć, nawet mnie, bo na świecie nie ma nic straszniejszego niż szczęście.

Jaskółki odlatują na południe, potem łapie się je do siatek i nadziewa cebulą. Ich łebki panieruje się i podaje gościom nocnego lokalu w szklanych miseczkach.

W moim pokoju mieszka włochaty zwierz, który ma pałające ślepia i długi ogon, jego futro jest zmierzwione, a ślepia wielkie jak talerze. On mnie chroni i jest na miejscu nawet wtedy, gdy go nie słyszę. Czasem zderzy się z rogiem stołu, i wtedy się cieszę, bo przypominam sobie, że nie jestem sama. On skupia całą władzę, ja nie mam jej wcale i dlatego właśnie czuję się szczęśliwa. Czasem po powrocie do domu bywa mi ciężko, mam wtedy ochotę gdzieś pójść; a kiedy spaceruję po dworze, chcę wrócić do domu; jak jest noc, tęsknię za dniem, a gdy

nadejdzie dzień, chcę tylko spać. Wiem, że zwierz śmieje się ze mnie i trzyma nici, których sama nie mam odwagi trzymać, on przechowuje je w bezpiecznym miejscu i czeka, aż się wyśpię, aż pospaceruję sobie do woli, on czeka i śmieje się z mojego niepokoju; człowiek tak naprawdę nigdy nie jest sam. Gdzieś tam ktoś pilnuje naszego szczęścia, chociaż robimy wszystko, by je zniszczyć. Ale moja matka i mój ojciec byli już dorosłymi ludźmi. Pobiegli prosto w objęcia szczęścia, nie oglądając się za siebie, szczęście zachwiało się nieco, ale zdołało się utrzymać, świat zadrżał z niemocy, drzewa z szacunkiem pokłoniły się przed nimi, a fundamenty domów pewnie też popękały. Mój ojciec i moja matka byli odważnymi ludźmi, szanuję ich pamięć.

Zima ciągnęła się długo, wiele, wiele lat. Gdy trwała, bałam się siebie. Bałam się i sprzątałam. Wymiotłam z siebie wszystko, co zbędne, by znowu stać się dzieckiem. Sprzątnęłam drewniane zwierzaki z pianina. Usunęłam te pyski. Wszystko, co zbierało kurz, wszystko, co dźwigało wspomnienia. Ubierałam się na czarno i byłam chuda jak cień.

Hindus przyszedł do mojego domu i zapytał: gdzie ty się dziś podziewasz, zwykle mam cię tu całą. Jesteśmy bardziej wolnymi ludźmi niż inni, powiedział, i zrozumiałam, że jednak nie jestem sama. Powiedział mi: jesteś moją siostrą, a ja mu na to: a ty moim bratem. Ten Hindus był ode mnie nieco starszy i przebywał w miejscu, gdzie się urodziłam, dokładnie w tym samym czasie, nikt inny, nikt z tych zimnych ulic. Przechodząc pod rusztowaniami, słyszeliśmy, jak śnieg topnieje. Roześmialiśmy się, a robotnik zwrócił się do mnie po angielsku. Hindus mi powiedział: chodzisz jak Finka, nie poruszaj się tak. Przecież jestem Finką, odparłam. On wtedy stanął i oznajmił: ty nie jesteś ta ani tamta i właśnie dlatego spędzam z tobą każdy wieczór. Dreptałam nieco w tyle za nim, bo szedł prędko, i tylko się śmiałam, po prostu śmiałam.



## 24.

Kiedyś morze wyrzuciło na brzeg delfina. W panice miotał się na piasku, nie wiedział, co robić. Był szary i błyszczący, dziwaczny. Rybacy szybko przenieśli go do łodzi, pięciu ludzi, taki był ciężki. Powiosłowali daleko i wypuścili delfina. Widziałam, jak woda się pod nim rozstała. Ludzie na brzegu klaskali i wołali coś do rybaków, którzy byli za daleko, by usłyszeć. Delfin przynosi szczęście, powiedzieli mi i ja też zaczęłam klaskać. Słońce akurat zachodziło, zabarwiło już morze. Piasek pod moimi stopami zaczął chłodzić. Mimo to nie myślałam o czasie, o jego przemijaniu, ani o tym, co mi zabrał. Ani o tym, co mi może przynieść. Ani o nocy, ani o dniu. Patrzyłam na łódź, płynęła dokładnie po smudze słońca. Zbliżała się w naszym kierunku, wraz z rybakami. A gdy wysiadali z łodzi, podbiegliśmy do nich, bo chcieliśmy ich dotknąć. Jeden z mężczyzn zanim się oddalił, uśmiechnął się do mnie. Po chwili na brzegu znowu zrobiło się cicho, zabłysły światła miasta i już nie czułam się samotna ani nawet sama.

Zima trwała długo, wiele lat. Nie widziałam nigdzie ludzi, ale w naszym bloku dźwięki słychać było głośniejsze. Jasne światło przeszkadzało mi, złościło. Bałam się gry, której zasad nie znałam. Mogłam wygrać tylko przez przypadek. Obojętność. Odwróciłam się na pięcie i odjechałam pociągiem. Długi czas nie jadłam, dlatego zakręciło mi się w głowie i wypadłam przez drzwi wagonu na peron. Nawet wtedy nie przyszło mi do głowy, by zawrócić.

Uczesałam mokre włosy w ścisły kok, schowałam w nim swoje loki. Moja blada twarz przypominała karnacją resztę ludzi. Umyłam podłogę, aż pachniała czystością. Wyrzuciłam kwiaty, zanim zwiędły, a na stole nie stało nic, co by zbierało kurz i wspomnienia. Ubierałam się na czarno i nie zakładałam żadnych ozdób. Kiedy stałam na brzegu, nie wiedziałam, czy jest mi zimno, a w głowie czułam pustkę, żadnego słowa. Kiedy płakałam, nie wiedziałam, dlaczego to robię, i zbierało mi się na większy płacz. Nie widziałam kolorów, nie czułam zapachów.

Hindus zapytał mnie: dlaczego ubierasz się na czarno i chowasz włosy? A ja odparłam: nie wtrącaj się do mojego życia, moje ściany są grube i mogę się zamknąć na klucz, na mur beton. Hindus trzasnął moimi drzwiami, pchnął je kopniakiem, nie musiałam ich za nim zamykać. Ale gdy telefon zadzwonił, to był on, nie pozwolił, bym choć przez chwilę cierpiała, ani zebrała. I powiedział mi: potrzebujesz światła, ciepła i wody, a ja w tej samej chwili rozpuściłam włosy.

Na schodach Katedry czuło się jeszcze ciepło, słońce wciąż jasno świeciło, było popołudnie i lody zaczęły się rozpuszczać, gdyż jadłam je zbyt powoli. Wtedy wszystkie kwiaty wreszcie zakwitły, nie zmieściły się już we mnie, a teraz wypływały z moich oczu we łzach.

Jest sierpień, kupiłam wiele przypraw. W Finlandii można dostać ich tyle, ile się zapagnie. Gdy kupuję liście winorośli w słonym sosie, to potem spłukuję z nich nadmiar soli. Zasiadam w swoim pokoju przed telewizorem, oglądam program albo słucham arabskiej muzyki, głośno, bo w moim bloku sąsiedzi się nie zmieniają, uśmiechają się tylko i mówią wprost, co chcą powiedzieć. Siedzę i zawijam w winne liście małe gołąbki. Szykuję sos i sałatkę pomidorową. A potem robię z pasty sezamowej dipa. Smażę brązowe fasolki. Zanim przyjdą przyjaciele, zapalam kadzidelka i wkładam przed lustrem największe i najbardziej błyszczące ozdoby. Maluję sobie mocno oczy. Otwieram wino, by sobie pooddychało. A gdy moi przyjaciele już się najedzą, wyłączam arabską muzykę i gaszę kadzidelka, i zaczynam grać na pianinie, i śpiewamy pieśni komunistyczne, rozmawiamy o dzieciach, o książkach, o facetach, o nowych restauracjach i popijamy włoski likier, a gdy wychodzimy, ulice są czarne, połyskują po deszczu, a spod kaptura peleryny może się ukazać znajoma twarz; moje włosy skręcają się pod wpływem

wilgoci jeszcze bardziej, a jedzenia starczy mi na wiele dni.

Podczas ramadanu pościłam z ojcem, tylko my, my dwoje. Siostra była jeszcze za mała, a mama była chrześcijanką. Wieczorem czekaliśmy przy radiu na wystrzał armatni, by wiedzieć, kiedy możemy zacząć jeść i pić. Cały Kair na to samo czekał, ulicami nie jechał żaden samochód, wszędzie rozlegał się brzęk noży i widelców, które niesiono już na stół, by czekały. Ja i tato piliśmy wodę różaną i próbowaliśmy daktyle. A potem wszyscy jedliśmy gołąbki zawinięte w winne liście ze zrobionym z pasty sezamowej dipem i sałatką z pomidorów i arbuza. Po kolacji oglądaliśmy w telewizji baśnie z tysiąca i jednej nocy. Potem jechaliśmy samochodem do Heliopolis, gdzie sklepy były otwarte, w salonach jubilerskich błyszczała złota i srebrna biżuteria, leżała w stosach, kamienie szlachetne wielkie i jak żywe, a gdy skręcaliśmy w ulicę, gdzie mieścił się najlepszy w mieście sklep z kawą, zapach świeżo mielonej kawy tureckiej wlatywał przez okno; nie przeszkadzał nam już smród spalin i ścieków. Tato szedł kupować kawę, a my czekałyśmy w samochodzie. I wtedy nie rozmawiałyśmy o fińskim deserze budyniowym *Jacky* ani o lodach *Ville Vallaton*, ani o solonym mięsie, ani o zamkach ze śniegu, ani o naszym kuzynie, który był komunistą, ani o lotniskach i ich schodach ruchomych, ani o lejącej się z kranu zimnej wodzie, która była tak czysta, że nadawała się do picia, ani o gorącej wodzie leżącej z kranu, której nigdy nie brakło, ani o parku Liisanpuisto, po którym łazili pijacy, ani o kolekcjach nalepek, ani o tym dźwięku, który budził, kiedy na podwórku dozorca łopatą zgarniał śnieg, nie rozmawiałyśmy o babci ani o Finlandii. Pojechaliśmy do parku, w którym znajdował się sztuczny staw i przyglądaliśmy się, jak raki biją się w czarnej wodzie. Ciągnęliśmy colę przez papierowe rurki, które zmoczone rozpadły się, zanim skończyliśmy pić. Mama popijała piwo *Stella* z dużej, brązowej butelki. Panowała ciemność, a drzewa ozdabiały czerwone, zielone i żółte lampki, z których oczywiście połowa nie świeciła. Słuchaliśmy grania cykad, wiał chłodny, wieczorny wietrzyk. Poszliśmy kupić wodę. Mama zadzwoniła z pocztą do swojej matki. W domu ja z siostrą modliłyśmy się za plecami taty na naszych nowych dywanikach; dywanik taty był przetarty w miejscu, którego dotyka się czołem. Potem kładliśmy się spać. Moja rodzina.

Przed wschodem słońca tato skradając się cicho, mijał moją śpiącą siostrę i budził mnie. Jedliśmy w ciszy: brązową fasolę i jogurt, i śliwki, i brzoskwinie, i morele, i chleb, i ser, i chałwę, i piliśmy tak dużo wody, ile się dało. Potem obmywaliśmy się do modlitwy i ja modliłam się za plecami ojca, na moim dywaniku jeszcze nie widać było nawet najmniejszego przetarcia. Potem tato czytał na głos Koran, a ja słuchałam, chociaż nie rozumiałam ani słowa. Siedział w fotelu, a ja obok, na niskim stołku. Przez chwilę staliśmy na balkonie, we wszystkich

domach naokoło też nie spano, i czasami mogliśmy dojrzeć księżyc. Tato obejmował mnie ramieniem. A gdy wracałam do łóżka, z pobliskich meczetów dobiegało wezwanie do modlitwy, i rozumiałam z niego prawie wszystko. Bóg jest wielki, śpiewali. Modlitwa jest piękniejsza niż sen.

Raz w dyskotecie na Synaju grali muzykę arabską tak głośno, że podłoga w naszym pokoju hotelowym drżała i nie mogliśmy zasnąć. Wtedy tato zaczął tańczyć z moją siostrą. Miał tylko białe kalessy na chudych, owłosionych nogach, już bez mięśni, a moja siostra: długie, brązowe loki i skóra opalona w słońcu, w białej bawełnianej koszuli nocnej. Tańczyli arabski taniec, a ja z mamą śmiałyśmy się tak bardzo, że aż się popłakałyśmy, robiłyśmy im zdjęcia i zaśmiewałyśmy się. Nie byliśmy zagniewani, że nie dano nam spać, bo i po co byśmy spali?

Czasami przy jedzeniu rozmawiałyśmy z siostrą po fińsku, a tato nic z tego nie rozumiał. I myślał sobie: one są częścią mnie, ale ich nie rozumiem. Kiedy indziej rozmawiałyśmy przy stole po arabsku, wtedy mama nic nie rozumiała. I myślała sobie: one są częścią mnie, ale ich nie rozumiem. Tato chciał nas w całości i mama chciała nas w całości, a czarne chmury mogłyby się naprawdę zgromadzić na niebie, jeśli ono nie byłoby tak męcząco bezchmurne; z daleka dobiegałyby złowrogie grzmoty, z całą pewnością. Mama kochała we mnie i w siostrze to, co było częścią jej samej, tato też kochał we mnie i w siostrze to, co było częścią jego samego. Więc ja pytam: czy to nie znaczyło, że przestali się już kochać?

Mój ojciec i moja matka przestali się kochać.

27.

Mieszkanie Hindusa było surowe. Brak zbytecznych przedmiotów, które by zbierały kurz i wspomnienia. Ale on mi powiedział: moje mieszkanie jest ładniejsze niż twoje, chociaż u ciebie jest przytulniej. Hindus, który znalazł się w miejscu, gdzie się urodziłam, w tym samym czasie; bywa i tak, że kawałki układanki zaczynają pasować do siebie. Hindus jest wypełniony słowami, pyta mnie: gdzie dzisiaj jesteś, zazwyczaj jesteś obecna całą sobą. Moje włosy zaczynają znowu rosnąć. Hindus, który znał mnie od zawsze. Hindus jak chłopiec, znam go od zawsze.

Jeszcze kiedyś się stąd wyprowadzimy, z tego bloku, w którym sąsiedzi się do siebie uśmiechają. Zamieszkam w przestronnym domu z ogrodem, gdzie w końcu będę mogła mieć ciszę. W domu, który ma piwnicę i skrzypiące schodki. Ale Hindus jest moim bratem, więc mówię mu: przyjdź, kiedy chcesz; gdy nocą patrzemy w gwiazdy, pamiętamy o innym niebie. Patrząc w gwiazdy, myślimy o tym samym.

Jest sierpień, noce znowu są nocami. Liście drzew, wyszczerbione przez małe gryzonie, pociemniały. Jeśli czasami okłamujemy się, to wydaje się ludzkie, oczywiście. W sierpniu nic nie pobrzękuje, nie szumi, latarnie wskazują nam ścieżkę na brzeg. Morze jest tak spokojne, że tylko szepczemy do siebie. Widzimy w wodzie spadającą gwiazdę.

W letnim domku unosił się zapach fajki wuja, dym kołysał się w jasnych promieniach słońca i mieszał z kurzem z książek, połyskiwał; na podłodze leżały podniszczone pasiaste szmaciaki, na stole stał mosiężny przycisk do papierów, popielniczki, w szklankach więdnące polne kwiaty, a w oknie widać było jezioro i jabłoń.

Wspinałyśmy się na jej gałęzie, a tato siedział zatroskany pod drzewem. Mama gdzie indziej, ale gdzie? On z sauny wychodził ostrożnie, szedł powoli po szyszkach, szpilkach i wystających korzeniach, na palcach, cienkie nogi starzejącego się mężczyzny, na pokryty szlamem pomost, a woda z jeziora czarniejsza niż ropa, nie granatowa, raczej niemal zielona; o poręcz pomostu lepiej było się nie opierać, rdza i schodki, mój tata schodził do wody, uśmiechając się, schodek po schodku, zimna jak lód czarna woda, na której powierzchni roiły się komary, w oddali czarne wyspy, trudno było odróżnić drzewa, a mimo to niebo było dziwnie jasne, skąd się to światło brało, schodek po schodku i już cały był w wodzie, ale nie puszczał poręczy, robił tylko ręką ruchy jakby pływał, i oznajmiał: tu jest wspaniale; ja z siostrą pływałyśmy w tę i z powrotem, a mama daleko na środku jeziora, odpływała, oddalała się. Wieczorem oznajmiła: wasz tato nie umie pływać. Próbowaliśmy zasnąć przy trzasku dopalających się szczap, ale tato chodził po pokoju, tam i z powrotem, nawet nie usiłował się uśmiechać, jak to w Finlandii, czekał bez końca, aż zajdzie słońce, by móc się wreszcie pomodlić. Nonsens, mruknęła mama i odwróciła się do ściany.

Dziwne zwierzęta, dziwnie pofalowana rzeźba terenu, nie wiadomo gdzie woda gruntowa, na pewno wszędzie, a na domiar tego bardzo blisko, dziwne, niskie pokoje, drwa do palenia, a moja mama gdzieś daleko, ale gdzie? Rano wdrapałyśmy się z siostrą na jabłonkę i długo tam siedziałyśmy.

Wesele mojego kuzyna odbywało się w sali balowej najlepszego hotelu w Heliopolis. Ja i siostra niosłyśmy długie świece i miałyśmy karnację jaśniejszą niż reszta, w naszych sukienkach było o wiele mniej koronek i złota. Na przodzie tancerka z ciężkim świecznikiem na głowie wykonywała taniec brzucha, miała czarną i błyszczącą suknię; za bardzo się świeci, skomentowała mama, za gruba, a ja myślałam tak samo, to wtedy było oczywiste, ale już nie jest. Mężczyźni, którzy brali udział w pielgrzymce do świętego miejsca, odwracali wzrok w inną stronę. Tuż przy naszych uszach grały trąbki, a rzucane monety wplątywały się nam we włosy. Goście klaskali do rytmu i ujrzałyśmy mamę w jasnozielonym stroju; wyglądała jak samotna brzoza pośrodku czegoś, co wcale nie było lasem, sama w tym tłumie.

Tańczyłyśmy, siostra i ja, mama siedziała sama przy stoliku, ale taty nie

było. Wróciliśmy do stolika, na naszą malutką wysepkę, tak mało złota i połysku, tak mało śmiechu, ale nie tęskniłyśmy za towarzystwem.

Moja kuzynka i jej otyły mąż siedzieli przez cały wieczór pośrodku pachnącego morza róż, moja kuzynka, oj, jakże ona promieniała, oj, jak całowała nas wszystkich. Później tego wieczora zabrali ją do szpitala i wycięli wyrostek robaczkowy; mimo że ją tak bolało, całowała nas wszystkich i promieniała. W ogrodzie zoologicznym w Kairze był niedźwiedź polarny, siedział w klatce tylko nieco większej niż on sam, miał odrobinę ciepłej wody w brudnej kałuży. Mama zmarła w drodze z wesela do domu. A na tylnym siedzeniu ja z siostrą siedziałyśmy cicho, przynajmniej raz.



Niektórzy znają martwe języki. Tylko ich księgi mają jeszcze skórzane okładki, tylko w ich książkach papier jest gruby i pożółkły. Latem przesiadują na powietrzu i jedzą rybę smażoną w czosnku. Umieją poruszać uszami i stać na głowie. Jeśli ich zatrzymują na pustyni i godzinami muszą podróżować eskortowani przez żołnierza, irytuje ich jedynie to, że nie mają przy sobie magnetofonu, bo gwara, której używa żołnierz, należy do niezwykle rzadkich, a przy okazji wiele map można sporządzić od nowa. Kiedy umierają: świece z pszczelego wosku i otwarta trumna. Denerwuje ich to, że piramidy, świątynie, muzea i groby są w rękach idiotów; uwielbiają stare rosyjskie marsze i oczywiście statki. Zwracają się do przyjezdnych w ich własnym języku, zaprzyjaźniają z nimi, a ich przyjaźń wydaje się skarbem, na który się nie zasłużyło, ale który jest dowodem na to, że Bóg istnieje; zetknęłam się już ze słabszymi dowodami, dowód nie musi być zręczną sztuczką ani grą słów, nie musi być powszechny, nie musi nikogo przekonać; a gdy raz mama spytała: dlaczego próbujesz pozbawić mnie wiary?, już więcej tego nie robiłam.

Kiedy wychodzą z biblioteki na słońce, by udać się na obiad, spostrzegają, że schody Katedry zdążyły ochłodzić i że słońca już nie widać. Rozglądają się, a ziemia jakby chwieje im się pod stopami, to się może przydarzyć każdemu, kto przyjedzie z daleka. Nie patrzą dookoła, choć z każdej strony może się pojawić samochód i ich przejechać. Tłumaczą stare teksty; kiedy armia opuściła pole walki, ziemia czerwona od krwi, łyzy na policzkach wdów, oni przewracają w książce stronę i nawet nie odczuwają smutku. Wartość dzisiejszego dnia tkwi tylko w tym, co w nim jest takie samo jak dawniej, ale w dzisiejszym dniu jest tak niewiele tego samego, a tak wiele wszystkiego, na czego opisanie tamte języki nigdy nie wystarczą.

Moja matka przybyła z daleka. A w moim ojcu było na początku tak wiele tego samego, co dawniej. W ogrodzie jego domu z dzieciństwa dozorca przemywał liście fikusa mlekiem i wspinał się na drzewa, by zrywać pomarańcze i cytryny, stała tam fontanna, a gdy się wchodziło ze słońca do wnętrza, ściany z kamienia chłodziły i dawały cień, i wszędzie odbijało się echo; w środku siostra mojego ojca za siedmioma zamkami, przygarbiona, w starej koszuli nocnej, eleganckie ubrania opakowane w gazety, nocą można je było w tajemnicy podziwiać. Z ogrodu prowadziły na taras pierwszego piętra kręte schody, ścieżka do domu obsadzona kwiatami, i kocia rodzina, i wanna na lwich łapach, i wiszące na sznurku wyschnięte mydło, i turkusowe kotary z ozdobnymi chwastami i zapach perfum, prosto z baśni, i stara czekolada w srebrnym papierku, i perskie dywany na podłodze, i nie pokoje, ale niemalże sale, z kryształowymi żyrandolami pod

sufitem. Gdy tato i mama opuszczali żaluzje, w pokoju robiło się ciemno i chłodno, a w powietrzu rozchodziła się woń kulek przeciwmolowych i papierosów, i nie słysząc jeszcze płaczu dziecka.

Nazywałyśmy go starym domem. Rozebrano go, sprzedano i rozebrano, a na jego miejscu zbudowano wysoki blok mieszkalny. Mama już więcej nie poszła na tamtą ulicę.

Wtedy mama wreszcie zobaczyła i zrozumiała, że Egipt nie jest tym Egiptem, który badała i kochała, nie był już nim od długiego czasu. Do jej oczu zakradła się szarość i mama kaszłała przez wiele dni. W naszym nowym domu sąsiedzi nie znali się nawzajem, naszą szkołę upaństwowiono i nadano jej imię po tej bitwie, w której Egipt wygrał z Izraelem; ściany u nas były krzywe, zauważyliśmy to, kiedy rozłożyliśmy ciemnozieloną wykładzinę, patrzyliśmy z okna, jak przywieziono całą ciężarówkę dzieci do pracy na budowie; tata już nie pił ani nie palił, a włosy mamy pociemniały w połogu.

Kiedyś oświadczyłam, że w imieniu rozumu wyrzekam się Boga. Ojciec popatrzył w sufit, pokiwał głową i powiedział: nie jesteś już moją córką, a ja mu na to: a ty nie jesteś moim ojcem; miał na sobie starą, znoszoną piżamę, no i był w Finlandii, gdzie nie chroniły go oddziały wojaków, a mnie tak. Moi żołnierze żyli w tanich mieszkaniach do wynajęcia, odżywiali się tuńczykiem i studiowali różne rzeczy. Byli młodzi, mieli jeszcze na czołach niemowlęce grzywki. Popijali wino domowej roboty. Występowali z Kościoła z powodu podatku kościelnego, nie płacili także abonamentu telewizyjnego. Latem poruszali się wszędzie na rowerze. Słowa stanowiły ich najostrzejszą broń, najbardziej skuteczną, a gdy nie mogli znaleźć słowa, to je wymyślali; a co do gwiazd na niebie, to znali ich nazwy; w tamtych dniach kometa długo świeciła tylko na jeden balkon. Ojciec spojrział w sufit i przygryzł dolną wargę, a jego oczy nie były już piwne, tylko szare, głowa prawie łysa; gdyby w tamtej chwili stał, może siedziałabym cicho, bo bym pamiętała, że jego plecy są już przygarbione i jest tylko trochę wyższy ode mnie, a niższy od mamy. Patrzył w sufit i mruczał coś do siebie, a ja paliłam przed nim papierosa. Spakowałam swoje rzeczy, robiąc przy tym tyle hałasu, ile potrafiłam. Patrzył w sufit i zdawał sobie sprawę, że między nim a niebem jest wiele pięter fińskich obywateli, masa karelskich pierogów, podwójnych drzwi do mieszkań i śledzi, a na samej górze – strych pełen obcych wspomnień. Patrzył w sufit, a jego gniew powoli wypełniał cały dom, nas wszystkich, moją siostrę, moją mamę i mnie; jakże mnie wtedy wypełniał i zostawiał na ścianach śliskie, zielonkawe smugi, które nigdy nie znikły, jego gniew krakał po kątach i rechotał jak żaba albo bagno; tamtego wieczora wszystko się zepsuło. Jeśli mama miała guzy, to one wtedy urosły dwa razy większe. Jeśli wtedy mimo wszystko istniał Bóg, to nie był z nami.

Mój ojciec przez wiele dni włóczył się samotnie po Helsinkach, po ulicach, które jeszcze wtedy nie były moimi ulicami. W tę pogodę jesienną i deszczową, nawet nie wiem, gdzie spał. Nigdy nam nie wybaczył, ale temu się nawet nie dziwię. W Finlandii ciastek nie kupuje się na kilogramy, tato; a ja się nie uśmiecham, jeśli nie mam na to ochoty.

Nigdy już nie wyrzeknę się swojej wiary, bo jeśli to zrobię, to zostaną jedynie słowa; a jeśli wtedy mi powiesz: nie kocham cię, uwierzę, że mnie nie kochasz, chociaż to może być nieprawda. Jak powiem, że Bóg umarł, co także nie będzie prawdą, w sercu zostanie mi puste miejsce, którego nie będę w stanie wypełnić słowami, bo w sercu słowa nie czują się dobrze, po prostu nie.

Bóg żyje tam, gdzie ja się go wyrzekam i przyznaję, że nie panuję nad światem, tylko świat panuje nade mną. Miłość żyje tam, gdzie tej prawdy nie trzeba

się bać, miłość żyje tam, gdzie ja siedzę na gruzach moich zburzonych budowli  
i odwracam twarz ku słońcu.

## 31.

Kiedyś w Libii tato kupił nam torebkę cukierków, były duże i twarde. Siostrze stanął jeden w gardle, wybiegłam wtedy z pokoju i schowałam się, zatykając dłońmi uszy, żeby nie słyszeć, jak się krztusi.

Kiedy owoce mango są duże i soczyste, w ich miąższu tkwią długie nitki. Raz w Aleksandrii jedna taka utkwiała mi w gardle, moja siostra wybiegła wtedy z pokoju i schowała się, zatykając dłońmi uszy, żeby nie słyszeć, jak się krztuszę.

Kiedy było gorąco, jechaliśmy na brzeg niebieskim samochodem, a ja z siostrą klóciłyśmy się na tylnym siedzeniu. Na brzegu moja skóra ciemniała jak skóra ojca, a włosy jaśniały jak włosy mamy. Gdy dostałam porażenia słonecznego, to wymiotowałam całą noc i śniły mi się lwy, które zbliżały się do mnie z wąskiego, ciemnego tunelu.

Nauczyłam się jeść małymi kęsami, to jest nawet bardziej eleganckie, więc chudłam, obserwowałam wrony na czarnych po deszczu dachach, rozwiązywałam krzyżówki przy słabym kuchennym świetle, a gdy skończyły się papierosy, nie miałam siły iść, by kupić nowe. Czasem zapominałam też o jedzeniu.

Ale teraz jest sierpień i już wcale nie boję się zimy. Hindus opiera się o stół w kuchni, jego głowa blisko talerza, je obiema rękami i chociaż usta ma pełne jedzenia, mówi do mnie. Jak teraz zobaczyłabym te lwy, wyszłabym im naprzeciw.

Mój ojciec opierał się o stół kuchenny w taki sposób, że głowa była blisko talerza, i jadł obiema rękami, i mówił do mnie, chociaż usta miał pełne jedzenia. Ojciec, ogniste zwierzę, już się go nie boję.

Biel, biel, w końcu została tylko biel, a biały to najstraszniejszy z kolorów, bo to kolor śmierci. Nigdzie już nie widać kwiatów. Dlaczego akurat mój ojciec i moja matka, najbardziej konkretni ze wszystkich, najbardziej nieustraszeni, najbardziej namacalni, najpiękniejsi? Tak było, że ojciec, na świętej pielgrzymce, wśród setek tysięcy innych owinięty w białe płótno, wysuszona skóra, biała, sucha skóra w ciasnych ramach, od długiego czasu bez wody. Nigdzie już nie widać kwiatów, ani w wazonie, ani na balkonie, ani w niczych włosach, w czyich są więc włosach, a na książkach i na papierach biały kurz, białe prześcieradła w pokojach, do których nie ma już potrzeby wchodzić, po co wchodzić, kiedy w sercu tylko ściska, i nie ma już nic, na co by się czekało, przynajmniej nie tu. I moja mama, biała gaza podtrzymująca brodę, wszędzie biel, tylko biel, i jeszcze biała urna, i cienkie, białe sznurki, na których opuściłam urnę do ziemi, nie czując nic, zupełnie nic, ale wtedy przynajmniej były kwiaty, tak wiele, że dałoby się w nich zanurzyć, kwiaty od wielu młodych ludzi, tak wielu młodych i ich smutne oczy; a ja i siostra, czarne, czarne przez wiele dni.

Jeśli kiedyś do mojego domu wraz ze słonecznikami dostaną się małe robaczki, to nic nie szkodzi. Moje dzieciństwo jak prześwietlone zdjęcie, zrobione starym aparatem, nigdzie nie widziałyśmy cieni, niczego się nie bałyśmy; nasze gołębie co wieczór wracały o tej samej porze; tato co wieczór kupował kwiaty, przynajmniej prawie, a jeśli czasem z kranu wylatywały z wodą czerwone glisty, można ją jednak było przefiltrować i ugotować; nasza wykładzina podłogowa jak trawa w środku lata, a na fotelach kwiatki w kolorze cytrynowym, na stole umyte brzoskwinie, w wodzie esencja wyciśnięta z płatków różanych; na weselu monety w naszych lokach; nie widziałyśmy, co się dzieje za rogiem, a gdy wszystko dobiegło końca, zauważyłyśmy, że po śmierci Boga nie istnieje nic, czym można się cieszyć, wtedy nie pamiętałyśmy, że On pewnego dnia zmartwychwstanie.

### 33.

Czasami wieszaliśmy na ścianach srebrne i złote łańcuchy choinkowe, zasłaniając nimi zielonkawe smugi, które zostawił gniew, zapalałyśmy świece na pianinie i gasiłyśmy lampy pod sufitem; wtedy mama śpiewała z nami, w tamte wieczory byliśmy wielkie, tylko my, kobiety, bez mężczyzn, przynajmniej takich mężczyzn, szpilki z drzew jeszcze nie opadły, ani jedna, a na święta mama obudziła się do życia, i wszystkie te potrawy, których nie nauczyłam się gotować, były dla nas prezentem od niej. W takie wieczory nie rozmawialiśmy o guavach, ani o owocach mango, ani o świeżych liściach winorośli, ani o sklepie z kawą, ani o sklepie z wodą, ani o naszym niebieskim samochodzie, ani o naszym białym samochodzie, ani o bezdomnych kotach, ani o bezdomnych psach, ani o ojcu; w takie wieczory nie rozmawialiśmy o Egipcie. Czasami myślałam, że to wszystko, nie rozumiałam, że został jeszcze zwęglony żar, który szybko wygasał, mimo że pewnie dałoby się z niego wykrzesać ogień, chociaż może i nie. Piłyśmy wino, śmiałyśmy się, ciągle śpiewałyśmy, otworzyłyśmy paczki z prezentami, popijałyśmy wino, zaśmiewałyśmy się, tylko my trzy, chociaż nasze głosy brzmiały cokolwiek nieczysto.

Mój ojciec w tamte wieczory, nie jestem pewna, mogę się tylko domyślać, sam w Egipcie, nawet bez drzewka cedru zamiast choinki, ani najmniejszego prezentu, tylko więdnące rośliny na balkonie i zamknięte drzwi, a za nimi więdnące wspomnienia i pożółkłe zdjęcia utraconego nieba. Człowiek tak żyjąc, wysycha, mój ojciec był już jedynie małym rodzyńkiem, nie miał światła w pustym domu, to już nie był nasz dom, ale jeszcze nie jego, chyba już nigdy takim się nie stanie, krzywe ściany, nie zaważą się, to by wymagało siły, a jej już zabrakło; dzieci rodzą się w każdej minucie, a chleba tylko mniej, piasku więcej, a wody mniej; nie wierzyli w to, co mówiłem, nie wierzyli w to, co pisałem; stopy kartek papieru od lat już nie rosły, raczej kurczyły się, a nasze książki postrzępione przez małe gryzonie, od sąsiadów nie dolatuje głos rozkapryszonego dziecka i trzaskających drzwi, i żadnych kwiatów.

Kiedy zdejmowałyśmy ze ścian srebrne i złote łańcuchy, widziałyśmy znowu te zielone smugi gniewu, zaciskałyśmy usta i patrzyłyśmy gdzie indziej, wtedy nawet anioły marzły w swoich luźnych szatach i odlatywały od nas. Mój ojciec i moja matka zniszczyli się nawzajem. Wiedźcie jednak, że to było wasze życie, ja mam swoją wysepkę, na którą siostra może się dostać łódką. Półki w piwnicy ugięte pod ciężarem konfitur i grzybków, a w kominku nawet w lecie pali się ogień. Kiedy łódka mojej siostry przybija do brzegu, biegnę do niej; i gdy nocami patrzymy w gwiazdy, myślimy o tym samym.

## 34.

Zadzwoiłam do siostry natychmiast po wyjściu ze szpitala. Była wtedy daleko, daleko od domu. Mama umarła. Nie potrafiłam tego powiedzieć inaczej. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć i wtedy uświadomiłam sobie, co powiedziałam. Melodyjka w moim telefonie wygrywała tango, dźwięczała mi w uszach, kiedy wsiadałam do autobusu. W środku białe światło i biały szum w moich uszach. Tej nocy ogarnął mnie raczej gniew niż smutek, którego bym nie ścierpiała, bo jest cięższy od gniewu, trudniejszy; i wepchnęłam sobie poduszkę do ust.

Następnego dnia siostra przyleciała do Finlandii. Rano odwiedziłam szpital, w pokoju stała świeca i wszystko na biało, nie byłam w stanie pozbyć się tego obrazu sprzed moich oczu. Wszystkie rzeczy naszej mamy w plastikowych torbach, i okulary, okulary. Przyjaciele, a w mojej głowie pustka, żadnego słowa. Weszła z plecakiem do mojego domu. Kiedy się objęłyśmy, pogłaskałam jej kręcone włosy, były potargane. Oczy jej zapuchły, błędziły po kątach, nie miały odwagi zatrzymać się w miejscu.

Siostra zaczęła mówić. Ja raczej słuchałam. Oczy miałam zmęczone od czuwania, jakże mogłabym spać, kiedy nie udało mi się pozbyć sprzed oczu obrazu tego pokoju. Co jakiś czas siostra wybuchała płaczem. Płakała wielkimi, ciężkimi łzami. Przyniosłam jej więcej wina i częstowałam papierosami, mówiłam do niej, nie potrafiłam nic innego.

Posłałam jej na sofie. Niebieska pościel w gwiazdy i księżyce. Zapach Finlandii, powiedziała, i przycisnęła poduszkę do twarzy; ochłodziła jej rozpaloną twarz. Spróbuj zasnąć, poradziłam jej i zgasłam dużą lampę, w półmroku było łatwiej. Wyjęła z plecaka przedmioty, dziwne przedmioty. Na końcu wyciągnęła misia. Nazywał się Połówek, bo nie był ani mały, ani duży; ani stary, ani nowy; ani czarny, ani biały; nie był ani tym, ani tamtym. Zeszłej nocy ucho mu się oderwało, powiedziała siostra, rano zauważyłam, że urwałam mu je sama. Przyszyj, ale ostrożnie, bo jak zrobisz źle, to on będzie zły.

Wzięłam misia i poszłam do sypialni. Połówek miał tyle samo lat, co ona, był tylko nieco młodszy ode mnie. Nawlekając igłę, przypomniałam sobie, jak



mama śliniła koniec nitki językiem. Starannie przymocowałam oderwane ucho. Nie pamiętam, bym kiedyś robiła coś ważniejszego.

Słyszałam, jak płacze. Zaniiosłam jej naprawionego misia. Odezwała się: nie wierzę, że mama umarła, ona się tylko schowała. Odparłam: mama nie żyje. Oczy miałam wypełnione tym białym pokojem. Wypaliłyśmy ostatniego papierosa na spólkę.

Poszłam do łóżka. Myślałam o jej lokach na ciemnej klatce schodowej. I o tym, że we śnie urwała misiowi ucho. I o jej plecaku pełnym niepotrzebnych rzeczy. I o tej małej nadziei, którą jeszcze miała, a którą ja już straciłam. Zasnęłam jednak, bo doszłam do wniosku, że już nie muszę się niczego bać.

W taki sposób ich pożegnałam, pożegnałam ich miłość, bo to nie była moja miłość, pożegnałam ich bogów, bo to nie byli moi bogowie, pożegnałam ich gniew, bo to nie był mój gniew, pożegnałam ich wspomnienia, bo to nie były moje wspomnienia, pożegnałam ich miłość, bo to nie była moja miłość. Wtedy przestałam płakać.

Ale jednak. Kiedy ojciec kupił żywe gołębie, nie pozwoliłyśmy, by je zabił. Dałyśmy im imiona, a gdy były jeszcze małe, tato karmił je pipetką. Zbudował dla nich gniazdo z kartonowych pudełek i gdy wyjeżdżaliśmy z Libii, jeszcze żyły. A żółw chodził za mamą po ogrodzie, winne grona dojrzewały na dachu, mrówki nigdy nie zmieniły swoich szlaków, a tam, gdzie był grób naszego kota, wyrosła biała lilia. W Rzymie uciekliśmy przed deszczem do restauracji, a muzycy grali przy naszym stole, wtedy nie wiedziałam, że ojciec im za to zapłacił, a kiedy przyjechał do Finlandii, jego walizka była pełna prezentów, sobie nic nie kupował, a ja myślałam, że to normalne, jak te długie listy, na które nigdy nie odpowiadałyśmy, które ledwo dałyśmy radę przeczytać, i wycinki z gazet, które gromadził dla nas, siedząc w indyjskim fotelu z bambusa i mrużąc oczy za grubymi szklami, stara piżama, zmarszczone czoło, małymi nożyczkami, specjalnie dla nas. Wszystkie te lata, a ja myślałam, że to normalne, najwyżej trochę niemądre, i nigdy sobie tego nie wybaczę, nigdy.

Raz na Węgrzech młody człowiek, który znał się na gwiazdach i na kometach, z plecakiem, wąskie palce i blada twarz, a ja z nim; punkt widokowy, a gdy Amerykanie poszli dalej i zostaliśmy tylko my, muzycy przestali grać i zaczęli palić; wtedy w końcu zrozumiałam, że dawno temu w Rzymie ojciec zapłacił muzykom, żeby grali tylko dla nas, żeby umilić nam wieczór; obok mnie blady młodzieniec uśmiechał się szarymi oczami i był ode mnie tak daleko, bardzo daleko. Patrzyłam na Dunaj i widziałam tylko brudną wodę, a niebo wisiało na moich ramionach i wcale nie tworzyło łuku.

Mój ojciec, poszukiwacz wody, mam nadzieję, że już jej nie szuka. Mam nadzieję, że teraz jakaś miękka, okrągła, pachnąca i błyszcząca, od czasu do czasu jakieś słodkie słówka, żeby po prostu nie być samemu. Żeby nie trzeba było jeść w samotności. Mój tato, kocham go ponad wszystko. Kiedy następnym razem będę jadła pomarańczę, obiorę jej skórę długą spiralą, którą na chwilę założę sobie na przegub ręki jak bransoletkę.

Ich bogowie walczyli o mnie, ich bogowie walczyli o moją siostrę. To niemądre, mówiłyśmy, i nie śledziłyśmy tej walki. Ale na samym początku ich bogowie stanowili jednego boga, który ich wspierał. Mój ojciec i moja matka, ich oczy i skóra, i uszy, i usta, i palce złączone ze sobą, paznokcie i zęby, i sny, jaskrawozielone światło przenikające jaskrawozielone żaluzje, zasłony, i woda, czarne włosy i białe włosy splecione razem, słaby angielski, który dla żadnego z nich nie był językiem ojczystym, i jedzenie, i wino, i tarasy, i lody w metalowych czarkach, i samoloty, i nowi krewni, i kawa ze starych filiżanek, i srebrne łyżeczki, i listy, listy, i błękit, i brąz, i błękit, i brąz, i kwiaty, które nie zdążyły nigdy zwiędnąć, i szum, szum.

Mam zielone oczy, nie jestem tym ani tamtym, chociaż i obojgiem. Nie mam już zamiaru nigdy więcej wybierać między nimi.

Moje mieszkanko, a w nim wyłącznie moje rzeczy i moje wspomnienia, klucz mam tylko ja, nikt inny, i tylko moje książki, które sama kupiłam, innych nawet bym nie chciała, i moje płyty, które sama kupiłam, innych nawet bym nie chciała, i moje własne okna, które myję wyłącznie dla siebie, a gdy płaczę, nie chcę, by to ktoś widział, w żadnym wypadku. Ale to jest coś nowego, bo zima trwała długo, całe długie lata. Wtedy stawiałam drewniane figurki zwierząt na pianinie, wiedziałam, że ojciec przywiózł je z Afryki, wiedziałam, że zbierają kurz i to, że mama na pewno by ich tam nie postawiła, kurz i wspomnienia, obie rzeczy nie do przyjęcia. Wiedziałam, że mama wołała czerń i biel i proste kształty, nie znosiła małych przedmiotów i chyba w ogóle przedmiotów, i wiedziałam, że tato lubił wszystkie małe przedmioty i chyba w ogóle przedmioty. Wtedy myślałam sobie: tatę kocham bardziej niż mamę, jestem córeczką tatusia, ale czułam wyrzuty sumienia; więc kiedy zdjęłam figurki zwierzątek z pianina, pomyślałam: mamę kocham bardziej niż tatę, jestem córeczką mamusi, ale czułam wyrzuty sumienia i nie wiedziałam, co robić, nie miałam pojęcia.

Chyba nie chcę wybierać między wami. Kiedy się spieszę, obieram pomarańczę, robiąc w niej cztery nacięcia, wtedy skórka łatwo odchodzi. A kiedy mam czas, obieram skórkę długą spiralą, którą owijam sobie na przegubie, jak bransoletkę. Nie mam zamiaru nigdzie zapuszczać korzeni; począwszy od tego dnia, towarzyszy mi siostra.

Siedzę na jedwabnej poduszce, czytam książkę w twardej oprawie i piję mleko. Tak konkretnie.

Mój ojciec i moja matka. W wielkim szarym samolocie odlatują daleko. Siedzą obok siebie, mama w krótkiej spódnicy, ręce spoczywają na wąskich udach, długie, długie palce splecione z palcami taty. Mama patrzy przez okienko na wszystkie te chmury i resztę. W wielkim szarym samolocie wyżej, coraz wyżej, a ja zostaję tutaj i nie jestem samotna, ani nawet sama. W wielkim szarym, błyszczącym samolocie, głośne dźwięki przytłumione, szum i migające światła, i ludzie z różnych krajów, chociaż nikogo piękniejszego od nich. Gdzieś słońce, świeci im w oczy i szczypie. Nie patrzcie więcej w dół.

Zagrzebię w ziemi brzydkie słowa, schowam w ziemi wszystkie słowa. Wykopię plastikową łopatką dół w piasku i nie zatknę patyka na oznaczenie miejsca. Zapomnę o gniewie i lęku. Spalę wszystkie listy, te, które zostały napisane, i te, które nie powstały. Spalę je i rzucę popiół w morze. Szybko zapomnę o wieczorach, kiedy leżałam na plecach, a łzy spływały mi po policzkach i dopiero, kiedy zaczynały łaskotać mnie w szyję, zauważałam, że są. Niedługo wylecą mi z pamięci wieczory, kiedy waliłam pięściami w podłogę i nawet mnie to nie bolało. Obiorę z nich wiek i czas. Zapomnę o ich strachu. Zdrapię go lwimi pazurami. To, co zostanie, już nie będzie złe, to tylko woda i cytryny, i ziemia w kraju, gdzie księżyc wisi w odwrotną stronę.

Bawię się na brzegu, bawię się i pływam, zbieram kamyki. Oglądam małe kamyki, oglądam dokładnie, a one wszystkie są dla mnie nowe, nieodziedziczone ani nie stare. Te, które mi się podobają, zbieram, mam teraz dla siebie tyle przestrzeni, nowego miejsca, sama je zaorałam, wyrzuciłam sporo odziedziczonych rzeczy, a zachowałam tylko to, czego potrzebuję, słucham tak głośno muzyki, że aż w uszach mi szumi, ale to nie szkodzi; przyjemnie jest leżeć na podłodze, jest chłodna i nie ustępuje pode mną, i z dołu widzę, jaki mój błękitny pokój jest wysoki, ma łuk niczym niebo, i biel widzę; niedługo liście opadną z drzew i tak dobrze jest w domu, niczego się nie trzeba bać, niczego, i mogę czekać, czekać na wieczór, a gdy słońce świeci, świeci łagodnie, nie jak wiosną niczym dzwoniący kryształ, tylko jakoś łatwiej, a gdy zamykam oczy, światło robi się czerwone i to jest kolor mojej krwi.

Moje skrzydła urosły duże, słońce nie będzie mnie już bardziej przypiekać. Dojrzały porzeczeki, w sam raz, by upiec z nich placek, który zjem z przyjaciółmi, zdarza się, że oni błyszczą w wieczornym świetle jak anioły, a może to wszystko tkwi także w nas, wreszcie dojrzeliliśmy do dorosłości. Ważki też są duże, latają tuż nad ziemią, a wkrótce na pewno wystrzelą tysiącem barw, zatoka jeziora zarosła sitowiem, a słońce świeci już niżej i ciszej. Zapalamy latarnie i mówimy mniej niż dawniej. Sierpień w Finlandii, dzień i noc, w rozsądnych proporcjach, zupełnie jak

w Egipcie. Odzieram ich i wysyłam z powrotem do początku, skąd nie muszą nigdy wyjeżdżać. Nie słysząc już płaczu dzieci.

Zdrapię wszystko, co zechcę. Wyszlifuję, wyglansuję i postawię na granatowym aksamicie to, co chcę. To moje prawo. A gdy to będzie gotowe, zrobię wtedy coś innego, takie jest moje prawo.

Czasami przyjaciele wyglądają tak samo jak przed laty i właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Opowiadali mi, że się boją, opowiadali o smokach, w które się zmieniali, jak wielkie są smocze łzy i jak brutalne ich obyczaje. Opowiadali mi o ognistej grzywie lwa, która prowadziła ich o północy nad brzeg zaczarowanego stawu. Zrzucił skórę, rozkazywał lew, i oni próbowali. Ale pod skórą jest druga, a pod tą – następna, i dopiero, gdy odważali się drapać naprawdę głęboko, aż ból był nie do zniesienia, skóra się wreszcie odrywała. Potem kąpali się w zaklętym stawie, księżyc świecił nad nimi, a lew cicho umknął. Wtedy spoglądali na swoje czerwone policzki i pulchne ramiona, lubili się nawzajem, jedli cielecą wątróbkę i mówili do kelnera: jest tak wyborna, że aż płakać się chce; wątróbka w środku krwista i dlatego dostali ostry nóż. Od tamtej chwili wyglądali tak samo jak przed laty: częściej się śmiali, mówili mi – widzisz, śmiejemy się więcej niż dawniej. Wtedy czas zaczął płynąć wolniej, lato znowu robiło się długie, a przedmioty nabierały blasku.

To ciepło jest dla mnie nowością. Niski głos blisko mego ucha, i całkiem normalne sprawy, nic wytwornego, tylko śniadania. Moje imię wymawiane przez drugiego człowieka, to wystarczy. Małe sprawy, wielkie sprawy, nigdy nie średnie. Czasem nie daję rady dźwigać tego szczęścia, czasem myślę, że to jest smutek, ale smutek jest lżejszy od szczęścia, jest łatwiejszy od szczęścia. To, co ciąży, nie jest już smutkiem. Próbuję trwać w ciszy, patrzeć tylko i nie myśleć o niczym. Począwszy od tego dnia, spróbuję być sobą. Żeby już nie trzeba było jeść w samotności.

Kiedy mój ojciec zobaczył moją matkę w pociągu jadącym z Luksoru do Asuanu, nagle poczuł, że nigdy nie umiał mówić, że świat nigdy nie mieścił się w słowach, że tego nie można opisać pojęciami, że o tym nie można zaśpiewać, bo czym są piosenki, jeśli nie muzyką ze słowami, a w piosenkach twarz kobiety jest jak księżyc, jej oczy czarne jak noc. Ale takie melodie nie wydawały się odpowiednie, wijące się i miękkie, bo mojej mamy nie trzeba było wabić, ani jej uśmiechu; jej spojrzenie otwarte i obecne, nie zerkała zalotnie, nie strzelała oczami. Czasem bazarowe zapachy zaczynają się i nie kończą, jak zaczyna się i kończy coś, co nie ma kształtu; one tylko uciekają i się za nimi tęskni; w mamie nie było nic takiego, a tato myślał: to nie może być kobieta, na kobiecej twarzy puder, puder i skóra, która nie oddycha, i złota tyle, że uszy się wyciągają, i aksamit, i oliwka zawsze najpierw, a teraz przecież widzę, że to anioł, tu i tam, żadnej tajemnicy, mimo to tysiąc przysiąg i kolorów, pastelowe, lekkie barwy, jak najwyższe nuty i wiosenne światło wszędzie rozdrobnione, i kolory, kiedy jest za dużo światła, światło w oczach i uszach, kiedy nie zmieści się już żadne słowo, kiedy pod oczami swędzi ciepło i rozdrażnienie niczym wirująca osa, może nawet trochę rozłuszczona, własna przestrzeń, i już nie własna, i to denerwuje, ale trzeba biec, żeby jednak zdążyć, a jak się nie pamiętało, by pić, można wypaść przez drzwi wagonu na peron i obudzić się dużo później. O poranku ziemia może być jeszcze wilgotna, wszystko widać na wskroś, widać włókna i plamy, których przedtem nie było, ale teraz przynajmniej się nie szepcze, teraz się krzyczy, wrzeszczy, ogłasza, dlaczego trzeba szeptać, gdy wszystko jest jasne, gdy wszystko zostało zapisane, tak myślał ojciec, gdy wszystko zostało zapisane ognistymi zgłoskami dawno, dawno temu, albo dopiero jutro. Raz światło się rozpadło na kawałki i już nie znalazłam wszystkich fragmentów, ale większość jednak znalazłam i skleiałam je, i widzę zmarszczki pod swoimi oczami, dlaczego nie miałabym dojrzeć także tych miejsc, gdzie jest klej, to przecież praca moich rąk. Tato szukał słowa i nie mógł go znaleźć, i to nie zdarzyło się nigdy przedtem, było łatwiej mówić gwarą Beduinów, słuchać i powtarzać, było łatwiej patrzeć na kobietę przez jej śpiew, szukać w kobiecie piosenki, wyśpiewać kobiecie słowa i powiedzieć jej: to twoja piosenka, te słowa to ty, ty jesteś tymi słowami, i wtedy można bez trudu zasnąć, bo nic się nie stłukło ani nie obilo, i tak jest dobrze, czyż nie; czemu tłuc i obijać, to niepotrzebne, tego jest w świecie i tak za dużo, jeszcze po latach ślady po bombie gronowej na ścianach, a gdy koloruje się mapę, kolor musi się trzymać wewnątrz granic, albo tylko poza nimi, bo inaczej po co by się rysowało mapę, a gdy zamyka się drzwi na noc, wiele zostaje na zewnątrz, a do środka można zabrać, co się chce, ale tato wcześniej nie spotkał mojej mamy, więc łatwiej go zrozumieć.

Mój ojciec, on nie bał się niczego. I moja matka, ona już niedługo też nie. Mój ojciec i moja matka ukryli się w świetle. Poza nimi nie było niczego na całym świecie. Gdy zamykam oczy, światła jest chyba jeszcze więcej.



## **Wydawnictwo Akademickie DIALOG**

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219  
tel. (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49  
e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218  
tel./faks (0 22) 620 87 03  
e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl  
www.wydawnictwodialog.pl

### **Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:**

- Języki orientalne
- Języki Azji i Afryki
- Literatury orientalne
- Skarby Orientu
- Teatr Orientu
- Życie po japońsku
- Sztuka Orientu



- Dzieje Orientu
- Podróże – Kraje – Ludzie
- Mądrość Orientu
- Współczesna Afryka i Azja
- Vicus. Studia Agraria
- Orientalia Polona
- Literatura okresu transformacji
- Literatura frankofońska
- Być kobietą
- Temat dnia
- Życie codzienne w...

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową

ranya paasonen  
**POZYCJA SŁOŃCA**

